

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 23 SIERPNIA 1930 ROKU

NR. 34

TREŚĆ NUMERU. Kobieta polityka drzwi otwartych — *Natalja Jastrzębska*. Poezja: „Dziwanny” — *Lena Sölm*. Babulki — *Zygmunt Knothe*. Tallin w dzień i w nocy — *Stefanja Podhorska-Okolom*. Po zamknięciu „Komtura” — *Zofja Miszewska*. Z książek — *S. P. O.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza turystyka i jej niewygodny — *L. G. Hodowla* bylin — *Wanda Dobrzańska*. Jam a konfitura — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: W dzień dżdżysty i mglisty — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

KOBIECA POLITYKA DRZWI OTWARTYCH

W pierwszych czasach swej pracy zawodowej kobiety musiały przezwyciężać wielkie trudności. Ochrona pracy była wtedy wogóle dopiero w zątku, a to, co zdołały już wywalczyć związki zawodowe, było narazie przywilejem mężczyzn, mocą zwyczaju bardziej na rynku zawodowym pożądanym pracowników. W walce o byt milkną przeważnie uczucia i względy dla płci „słabszej”; mężczyźni, obawiając się konkurencji, starali się odsunąć kobietę pracującą od zajęć popłatniejszych i nie troszczyli się zbytnio o jej prawa. Kobiety, zmuszone ciężkimi warunkami ekonomicznymi, brały najlichsze i najgorzej wynagradzane zajęcia, byle żyć. O specjalnej ochronie swej pracy, o lepszych warunkach marzyć im było trudno.

Tak trwało długie lata, tak jest wielokrotnie jeszcze dotychczas. W Polsce przecież, mającej najlepsze chyba w całym świecie ustawodawstwo ochrony pracy, znajdują się jeszcze robotnice, zarabiające 60 zł. miesięcznie; tyle mają np. polerowaczki plate-rów i inne młode dziewczęta, zatrudnione w małych warsztatach i fabryczkach, zwłaszcza żydowskich; tak samo ze złobków korzystają tylko te szczęśliwe matki, które dostały się do zakładów, zatrudniających więcej, niż sto osób żeńskiego personelu, i t. p., i t. p. Są to nieuniknione fluktuacje rodzajów pracy i niedoskonałości prawa, które, w dzisiejszej koniunkturze społecznej, nie może wszystkiego przewidzieć i zapewnić wszystkim dobrobytu.

Naogół jednak zmieniły się zasadniczo podstawy prawne pracy wogóle i pracy kobiet. Ochrona macierzyństwa była pierwszym etapem polepszenia warunków pracy kobiety i jeszcze przed wojną niektóre

państwa europejskie ochronę tę wprowadziły. W rok zaś po wojnie powstało przy Lidze Narodów Międzynarodowe Biuro Pracy, które poświęciło wiele czasu sprawie ochrony pracy kobiecej. Wychodząc z zasady, że przemęczenie kobiet w okresie ciąży jest szkodliwe dla zdrowia przyszłych pokoleń, wprowadzono płatne urlopy dla ciężarnych na 6 tygodni przed i po poro-żu, zobowiązując pracodawców, lub Kasy Chorych i inne społeczne czy państwowe instytucje, do wypłacania tym matkom jeszcze specjalnych zapomóg w tym okresie. Jednocześnie uchwalono dla kobiet zakaz pracy nocnej (od 10 wieczór do 5 rano) i zakaz pracy w fabrykach przetworów chemicznych, szkodliwych dla zdrowia (ołów, siarka), zakaz pracy w kopalniach, jak również ograniczenie dźwigania ciężarów, do 20 kilogramów.

Postanowienia Międzynarodowego Biura Pracy o zakazie dla kobiet pracy nocnej i pracy w przemyśle, szkodliwym dla zdrowia, przyjęło 20 państw; ustawę o ochronie macierzyństwa — jedenaście. Jednakże nawet te kraje, które narazie uchwał Biura oficjalnie nie ratyfikowały, postanowiły uzgodnić z niemi swoje ustawodawstwa społeczne; tak postąpiła Japonja, która od 1829 r. wprowadziła zakaz pracy nocnej dla kobiet, jak również i Chiny.

Zdawało się więc, że cały ogół kobiet będzie zadowolony z tych ustaw, popierając je usilnie i starając się tylko o ich powszechne zastosowanie w całym świecie oraz doskonalenie, w miarę zmieniających się warunków i potrzeb lokalnych. Tymczasem stało się przeciwnie.

W dziesięć lat po powstaniu Międzynarodowego

Biura Pracy, w toku wprowadzanych w całym świecie cywilizowanym postanowień tej instytucji, założono stowarzyszenie kobiece, pod nazwą „Rada Otwartych Drzwi” (Open Door Council), którego zadaniem jest... zwalczanie ochrony pracy kobiet. Organizacja powstała w Berlinie, przystąpiły do niej delegatki Ameryki, Anglii, Belgii, Danii, Finlandii, Niemiec i Szwecji; przewodniczącą obrano amerykańkę, p. dr. Christal Mac Millan. Już po roku istnienia tego stowarzyszenia można stwierdzić, że najintensywniej rozwija się ono w Stanach Zjednoczonych i w Anglii. W Londynie odbędzie się w tym roku wielki Kongres „Otwartych Drzwi”, i co najdziwniejsze, że w tej, tak radykalnej akcji biorą czynny udział zwykle bardziej konserwatywne społecznie organizacje katolickie, jak np. St. Joan's Social and Political Alliance, poważna grupa katolickich związków kobiecych angielskich. Z drugiej zaś strony występują przeciw niej ugrupowania kobiece lewicowe, jak Międzynarodowy Socjalistyczny Komitet Kobiec.

Jaka jest ideologia polityczna Rady Otwartych Drzwi? Zwolenniczki jej twierdzą, że ustawy, nadające kobiecie specjalne przywileje w pracy, są szkodliwe, gdyż usuwają kobiety z bardzo wielu dziedzin rzemiosł i przemysłu, tych właśnie, w których zajęcia są najlepiej płatne, i te najkorzystniejsze zatrudnienia stają się wyłącznym, prawnie zagwarantowanym przywilejem mężczyzn.

Praca nocna, zajęcia w kopalniach, prace, wymagające dźwigania znacznych ciężarów, prace przy przetworach ołowianych i t. p. — to właśnie cały kompleks zawodów, doskonale płatnych; jeżeli więc kobieta ma siły i zdrowie, aby im podołać, nie powinna być od nich ustawowo odsuwana. Rada Otwartych Drzwi twierdzi, że kobiety walczyły długie lata o osiągnięcie tych samych praw, jakie mają mężczyźni, o to, by każdy zawód, tak, jak każda wiedza, były im dostępne i aby tylko wola jednostki decydowała, jakiemu zawodowi ma się ona poświęcić.

Dlaczego — zapytują członkinie Open Door Council — nikt nie bada mężczyzn, kandydatów do tych zawodów, czy mają odpowiednie do nich siły? Najstabszy chuchrak może, jeśli chce, iść do kopalni, dźwigać ciężary i pracować w nocy. Jeśli okaże się do tego niezdolny, to go odprawiają, ale próbować żadne prawo mu nie wzbrania. To samo powinno stosować się i do kobiet, nie jest bowiem wcale dowiedzione, aby z natury swej płci musiały ulegać łatwiej chorobom, powstającym np. z zatrucia szkodliwymi minerałami. Statystyki dają pod tym względem informacje niewystarczające. W Ameryce np. w jednych zakładach wykazano, że zatruciu przy pracy w przemyśle ołowianym uległo 5 procent mężczyzn, a 19 procent kobiet, w drugich zaś, przeciwnie: 15 procent mężczyzn, a tylko 11 procent kobiet! Różnica ta wypływa z tego, że w zakładach pierwszego typu

kobiety spełniały zajęcia najgorzej płatne, były źle odżywiane i miały straszne warunki mieszkaniowe, podczas gdy w drugich i mężczyźni i kobiety otrzymują równe, wystarczające wynagrodzenie, a w tych warunkach kobiety mniej, niż mężczyźni, skłonne są do chorób, wynikających z rodzaju pracy. Tak samo w pracy nocnej: doskonale płatny za nią robotnik ma środki na dobre odżywianie się i wypoczynek w ciągu dnia, podczas gdy kobieta, „chroniona” prawem, pracuje wprawdzie w dzień, ale wynagradzana jest tak lichy, że zdrowie jej więcej na tym cierpi, niż gdyby za dobrą płacę pracowała w nocy, tembardziej, że, zwłaszcza jeśli ma rodzinę, i tak musi szyć i pracować po nocach dla dzieci, w co już nie wgląda żadna ustawa.

Rozumowaniu temu nie można bezwzględnie zaprzeczyć. Zwłaszcza, co do pracy nocnej, zakaz jej nie wydaje się zupełnie słuszny. Pod tym względem mają rację członkinie Rady Otwartych Drzwi: większość kobiet pracuje „nieustawowo” po nocach i pracuje właśnie dlatego, że za pracę dzienną kobiety są lichy płatne. Poza tem kwestja pracy w nocy nie jest sprawą płci. Są ludzie „nocni”, którzy w nocy mają najświeższy umysł i największą energję do pracy (np. umysłowej) i ludzie „dzienni”, którzy tylko w dzień mogą pracować, ale zarówno wśród jednych, jak i wśród drugich trafiają się i mężczyźni i kobiety. Na zakaz pracy nocnej dla kobiet wpłynęły inne warunki, natury raczej moralnej, i, o ile w rozwoju cywilizacji nowoczesnej ułożyłyby się one dla kobiet korzystnie, zakaz pracy nocnej mógłby nie być nienaruszalnym „tabu”.

Najważniejszy jest wpływ pracy kobiety na zdrowie przyszłego jej potomstwa.

Otóż i tu przytaczają zwolenniczki „Otwartych Drzwi” statystyki amerykańskie, które wykazują, że wcale nie wyłącznie praca matki, ale również i praca ojca ma wpływ na zdrowie przyszłego pokolenia, gdyż 26 procent dzieci ojców, pracujących w przemyśle ołowianym, nie dożyło jednego roku!

Sprawa nie jest więc łatwa do rozstrzygnięcia. Open Door Council twierdzi, że usuwanie kobiet od wielu rodzajów pracy, wobec wielkiego rozwoju przemysłu, wytworzy znów z kobiet zastęp proletariuszek, dopuszczanych tylko do niektórych zajęć i wskutek tego źle płatnych, co właśnie wpłynie ujemnie na zdrowie ich i ich dzieci. Przeciwno temu twierdzeniu wystąpiła ostatnio znana społeczniczka niemiecka, wysoka urzędniczka ministerstwa pracy, dr. Lüders, twierdząc, że, mimo ochrony pracy, liczba kobiet, pracujących w przemyśle fabrycznym niemieckim wzrosła ogromnie. Gdy w roku 1882 było w Niemczech kobiet, zatrudnionych w przemyśle, półtora miliona, to w roku 1928 — dwa miliony osiemkroć! Kobiety nie potrzebują koniecznie iść do pracy ciężkiej, lub groźnej dla zdrowia, gdyż ciągły wzrost różnorodno-

ści fabrykacji, rozwój wiedzy i naukowej organizacji dostarczy im aż nadto zajęć.

Zwolenniczki wolnej pracy zwalczają jednak zacięcie te argumenty, twierdząc, że statystyka, wykazująca wzrost pracy kobiecej, nie wypływa wcale z tego, że kobiety mają do pracy tej więcej pola; jest ona tylko odpowiednikiem ogólnego wzrostu ludności. Wszystko to może być też prawdą, ale nasuwa się jedna uwaga: jeżeli kobieta będzie tylko równouprawniona w pracy, jeżeli zażąda zniesienia chroniących ją przywilejów, to, logicznie biorąc, należałoby znieść i przywilej płatnych urlopów kobiet ciężarnych!

Otóż w tym punkcie sprawa nie stoi jasno; niektóre grupy w Open Door twierdzą, że i ta ochrona jest dla kobiet szkodliwa, gdyż pracodawcy albo nie przyjmują mężatek, albo zwalniają kobiety w ciąży na parę miesięcy przed porodem (ustawa bowiem broni tylko zwolnienia w czasie 6-tygodniowego urlopu porodowego). Inne są zdania, że ochronę macierzyństwa należy przenieść wyłącznie na państwo, lub tworzyć dla niej instytucje społeczne, ubezpieczenia prywatne i t. p., a usunąć ją z ustawodawstwa pracy.

Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej. Położenie kobiet pracujących nie jest łatwe i wymaga ciągłego przystosowywania się do różnych, często zmieniających się warunków, badań, opartych na zasadzie wyników wiedzy lekarskiej, przyrodniczej i socjologicznej i godzenia wielu, sprzecznych nieraz interesów. Z jednej strony stoi zasada równości i sprawie-

dliwości, w myśl której kobieta powinna mieć te same prawa, co i mężczyzna; z drugiej nie można zgodzić się na to, aby matka pracująca pozostała bez ochrony. Praktyka życiowa zaczyna jednak wykazywać, że ta ochrona nie jest, w dzisiejszej swej postaci, wystarczająca.

Kobiety polskie powinny więc również poświęcić baczną uwagę tej sprawie. Z hasła, rzuconych przez Radę Otwartych Drzwi, niektóre mają znaczenie praktyczne. Nonsensem byłoby dążenie do zniesienia ochrony macierzyństwa, ale z argumentów Open Door trzeba skorzystać w sensie nadania tej ochronie formy, zabezpieczającej kobietę *na cały czas trwania ciąży*, a nie, jak dotychczas, na sześć tygodni. Tak samo ze sprawą pracy w przemyśle, szkodliwym dla zdrowia. Słusznie twierdzi Open Door Council, że nikt nie zapytuje mężczyzn, czy zdrowie jego jest odpowiednie do zamierzonej przezeń pracy. Należy więc dążyć właśnie do rozwoju psychotechniki i badania kwalifikacji do zajęć, zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn. Zadaniem wiedzy jest określić uzdolnienie pracownika i ustalić najlepsze warunki pracy, a zadaniem ustawodawstwa — warunki te zapewnić.

Kobiety polskie powinny brać w tej pracy nowych czasów ważny i wydatny udział. Dążyć do tego, aby nasze, już bardzo dobre ustawodawstwo ochrony pracy uczynić doskonałym, opartym nie na różnicy płci, jako zasadzie, lecz uwzględniającem, bez krzywdy dla interesów pracy kobiecej, ochronę kobiety, jako matki.

Natalja Jastrzębska.

LENA SÖLM

DZIEWANNY

*Lódkę się brało w przystani — niedaleko mostu i młyna,
jedna była tylko dobra, a tamte trzy dziurawe;
słyszałyśmy, że nad wodą rośnie jarzębina,
chciałyśmy mieć czerwone korale na niedzielną zabawę.*

*Płynęłyśmy po rzece zielonej, płynęłyśmy w zielonej kotlinie,
śmierki patrzyły w wodę — myślałam, że to zakłęci rycerze;
podjeżdżałyśmy pod kładkę niziutką, wiosła płątały się w trzcinie,
— Uważaj! na co ty patrzysz? schyl głowę, bo się uderzysz!*

*A dalej, za kładką, na piasku rosły mysmukle dziewanny,
zgarniałyśmy je do łódki ostrożnie, końcem wiosła;
trzeba było przy każdej powiedzieć: — Dziewanno, złocista panno!
daj mi być taką, jak ty! — kiedyś, gdy będę dorosła...*

ZYGMUNT KNOTHE

BABULKI

Pani Wandzie Gebethnerowej.

Wszystko wskazywało na to, że wieczorem mieli być goście. Była sobota. Dzień ten zaznaczał się w dziecinnej świadomości wielkiem sprzątaniami. Zdjęte dywany wisiały na podwórzu na wieszakach i było bardzo zabawnie patrzeć zgóry przez szyby na znane desenie, takie drobnutkie na tle dużego, brukowanego dziedzińca. Pokojówki walały w nie trzepaczkami, potem wstrząsały, trzymając za rogi, wreszcie składały i brały się do następnego. Zaś froterzy jeździli na szczotkach po salonie, wzbudzając cichą zazdrość swoją umiejętnością.

Po powrocie ze spaceru znajdowało się wszystko na miejscu, przesiąknięte zapachem pasty do podłóg. Dywany zdawały się jakby żywsze w kolorach, i może, gdyby dobrze posłuchać, opowiedziałyby jaką ciekawą przygodę. Bo kto wie, czy jeden z nich nie był dywanem latającym? Miałem wówczas to podejrzenie co do jednego małego, leżącego pod fortepianem. Stał na nim taboret wyścielany, łatwy do odsunięcia; nieraz pocichu odstawiałem go na bok, wciągałem dywanik pod fortepian, sadowiłem się wygodnie i próbowałem tam wszelkich możliwych zakłęb.

Serce biło mocno, bo a nuż ruszy? Nie wiem, przez drzwi, przez okno, czy jak, może odrazu znajdę się gdzieś w innym, czarownym świecie? Przymyślałem oczy i już widziałem, jak lecę nad łąkami zbóż, ponad lasem, tam, gdzie nad jeziorem ciemniała gęstwa drzew parkowych i tkwił wśród nich biały dom. Zawsze w jedną stronę leciały myśli. A jakże bolesnem dla serca było wyciąganie mnie z kryjówki, łajanie za nieporządku i wogóle za dzikie zabawy! Któż widział siedzieć pod fortepianem, przykładając twarz do brudnego dywanu, po którym depce się bucikami?! — Masz klocki, pociągi, baw się, jak inne dzieci.

Napewno mieli być goście. Do lodowni wsunięto tacę z dzbanuszkami w daleko większej, niż codziennie, ilości. Nie bez powodu. Dzbanuszki z prażoną śmietanką były na stole zawsze, gdy wieczorem przychodziły Babulki. Przychodziły rzadko. Może co tydzień, może co miesiąc — nie wiem. Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy wtargnęły do mego świata. Zapewne w jakąś sobotę. W najdawniejszych wspomnieniach żyły tylko te osoby i przedmioty, które widziałem koło siebie, z którymi miałem styczność. Babulki najpierw istniały tylko, jako zjawisko chwilowe, wtedy, gdy przychodziły. Nie mogłem sobie wyobrazić ich egzystencji po wyjściu z mego pola widzenia i odczuwania. Czy miały swój dom, gdzie, czy był duży? Co robiły, kim były?

Narazie widziałem, jak się szykowano na ich przy-

jęcie. A więc zaraz po obiedzie, o wczesnym zimowym zmierzchu odbywało się nakładanie konfitur. W długim mrocznym korytarzu stały wielkie, masywne szafy, szczelnie pozamykane. Szafy, które bardzo dziwnie pachniały, gdy się je otworzyło. W jednej wisiały suknie. Okropnie dużo, nigdy nie używanych. Jakieś balowe suknie babuni, gdy była młodą, panieńskie suknie mamusi, ciotek; kolorowe, pachnące zwietrzalymi perfumami, szeleszczące w dotknięciu, śliskie lub ciepłe i przytulne. Pelerynki oszyte puchem, długie boa z kogucich piórek, takie śmieszne, jak puszysty wąż. Kto kiedy nosił te suknie? Nie pamiętam ich na nikim.

A w drugiej szafie z kolei stały słoje z konfiturami. Było im sucho i ciepło. Pamiętam uroczyste chwile, gdy się otwierało tę szafę, by dobrać do kłoszyków z kredensu jakichś konfitur. Ileż ich tam było! W wielkich słojach przezrzystych i szczelnie zawiniętych woskowanym papierem, z napisem na boku na przyklejonej kartce. Pyszne gruszki z ogonkami; jabłka poćwiartowane; karminowe czereśnie, wiśnie; maliny, porzeczkę, agrest, dereń, nielubiany bez powodu; konfitury z truskawek, poziomek i róży; z kawonu, krajanego w drobnutką kostkę bursztynową. A jeszcze tajemnicze słoje kamienne, stojące w głębi, niezbadane i pociągające.

Nabierało się z nich powoli do kryształowych puharów z nakrywkami. Dostawałem zawsze resztki z łyżki, ale nierzadko łyżka zanurzała się specjalnie dla mnie w gęstej i słodkiej masie.

Potem odbywało się zapalanie lamp. Elektryczności nie było. Hanka ze świecą i zapalkami szła przez ciemne pokoje, a ja za nią. Hanka wchodziła na krzesło, zdejmowała klosz i szkiełko, przytykała zapalną, potem patrzyła chwilę, czy się równo pali, nakładała szkiełko, znów patrzyła jakiś czas, wreszcie ubierała lampę w klosz i, stękając, zlatowała z krzesła. Teraz już z obu stron lustra w przedpokoju paliły się dwie matowe kule.

Przyszła kolej na salon. Nie znosiłem tych lamp. Światło z nich uciekało ku sufitowi; choć stojące, wcale nie oświetlały książki, czy zabawek, leżących koło nich. Świeciły gdzieś na twarze dorosłych, na ściany, obrazy, sufit. Najmilsza lampa była w pokoju babuni: z zielonym kloszem, rzucająca jasny krąg światła właśnie ku dołowi, na zabawki, leżące koło stołu na dywanie, na małe krzeselko i stolik.

Lamp w salonie było trzy. Na kominku siedziała porcelanowa pani w obfitej sukni, trzymająca jedną ręką kosz na głowie. Z niego to wśród kwiatów i owoców wyrastał rezerwoar na naftę, jak splaszczona ku-

la, zaś w górę strzelała zamknięta lilja klosza. Lampa na stole była ze złożonego miejscami brązu, a na małym stoliku koło kanapki stała taka sobie waza porcelanowa w drobniutkie kwiatki, zakończona też kielichem kwiatu ze szkła o wypukłym deseni. Już się dawno paliły wszystkie lampy, odsunięto od ściany stolik, rozłożono karty, których nie wolno było ruszać, zatemperowano kredki, ułożono szczoteczki, ustawiono świece w wysokich lichtarzach.

W jadalni stół już nakryty. Na białym obrusie rozsiadły się kolorowe, podobno ręcznie malowane, saskie talerzyki; klosze i kloszyki z ciastem, konfiturami, owocami; srebrne noże i widelce, przedziwne dwa kosze na pieczywo, niby liście kapusty, o koronkowych brzegach z cieniutkich srebrnych blach. Serwetki o puszystych, rozczesanych frendzelkach. Trzeba było chodzić ostrożnie naokoło, by czegoś nie strącić, nie poplamieć.

Hanka już się ubrała w biały fartuch i czepek, moje ręce też umyte i garnitur zmieniony. Babunia włożyła odświętną suknię, szeleszczącą przy każdym ruchu. Za chwilę przyjdą Babulki. — Bądź grzeczny i nie zrób wstydu mamusi.

Zadzwiećzał dzwonek. To one. W przedpokoju szelest, stumione drzwiami głosy. Mamusia poprawia mi krawat, dużą kokardę, spływającą z pod szerokiego kołnierza.

Weszły kolejno, wszystkie cztery, jedna za drugą.

Do pierwszej babunia i siostry jej mówiły Liziu, mamusia — panno Elizo. Była o wiele starsza od babuni, niższa od niej, zupełnie siwa; czarna koronka osłaniała tylko srebrne pukle. Długa twarz była ciemniejsza od włosów, oczy niebieskie i bardzo jasne; gdy się uśmiechnęła, ukazywał się jedyny żółty, długi ząb, prawie pośrodku ust. Ręce miała drobne o niebieskich żyłkach, zawsze trochę drżące. Miała czarną długą suknię, lśniącą, jak metal, w uszach długie złote kolczyki; ogromną broszkę, spinającą pod szyją koronkę, bransoletę ciężką i mały woreczek w ręku. Szła trochę pochyłona i mówiła skrzypiącym, twardym głosem. Bałem się jej zawsze i miałem w głębi duszy za wrózkę. Napewno znała czary i mogłaby mię nauczyć zaklęć, jak lecieć na dywanie, ale nigdy nie śmiałem jej o to zapytać, a sama mi nie powiedziała.

Drugą nazywano Zuzią, była młodsza od babuni; dziś nazwałbym ją wytworną, wówczas olśniewał mnie blask brylantów w jej uszach, uczesanie włosów, pęk breloków, dzwieczące bransoletki, pierścionki, perfumy, wesół głos. Grała mi czasem melodyjne

gawoty i walczyki misterne. Nosila też lorgnon na długim złotym łańcuszku, którym pozwalała się bawić.

Zaś trzecia, wysoka i tęga Zofja, umiała cudownie opowiadać o jakimś chińczyku, co siedzi w jej pokoju i kiwa głową, o piesku żywym, co mi się kłania, o kanarku i pięknej księżce z rysunkami. Lubiłem, gdy mię głaskała po głowie, choć nie była ładna, nie miała pęku ciekawych breloków, a tylko jeden medaljon czarny z perłą pośrodku.

Zaś czwarta, Karolina, była zaklętą księżniczką, którą uwielbiałem bez powodu. Niesłuchanie szczupła, w długiej sukni z trenem, była uosobieniem dostojności. Gdyby mi powiedziano, że została królową, wcalebym się nie zdziwił. Miała długą, bladą twarz, wielkie, czarne oczy i słodki uśmiech. Kiedyś, nie chcąc, pokazując jej swój nowy pociąg nakręcany, zdumiałem się na widok jej miniaturowego pantofelka, na który najechała lokomotywa. Głos jej był najdziwniejszy pod słońcem. Rwał się co chwila, dzwieczął, jak harfa, szarpany, rozbity, czy rozelkany, a jednak lubiłem go słuchać.

Po kolacji panie zasiadły do winta. Kręciłem się koło stolika pewien czas, patrzyłem na padające na sukno karty, nakreślone kredką dziwne znaki w długich kolumnach. Czasem mi pani Zofja rysowała kotka siedzącego, lub lecące ptaki. Potem pamięć się zatracala, ktoś mię niósł długim korytarzem, rozbierał. Spałem już.

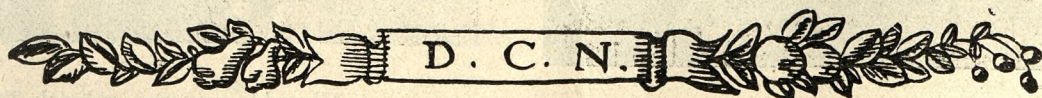
Upłynął pewien czas. Któregoś wieczora ktoś zadzwonił i do pokoju babuni przyniesiono kopertę. Babunia się rozplakała, potem ubrała pośpiesznie i wyjechała z domu z mamusią. Mówiła tylko: — Ta biedna Lizia!

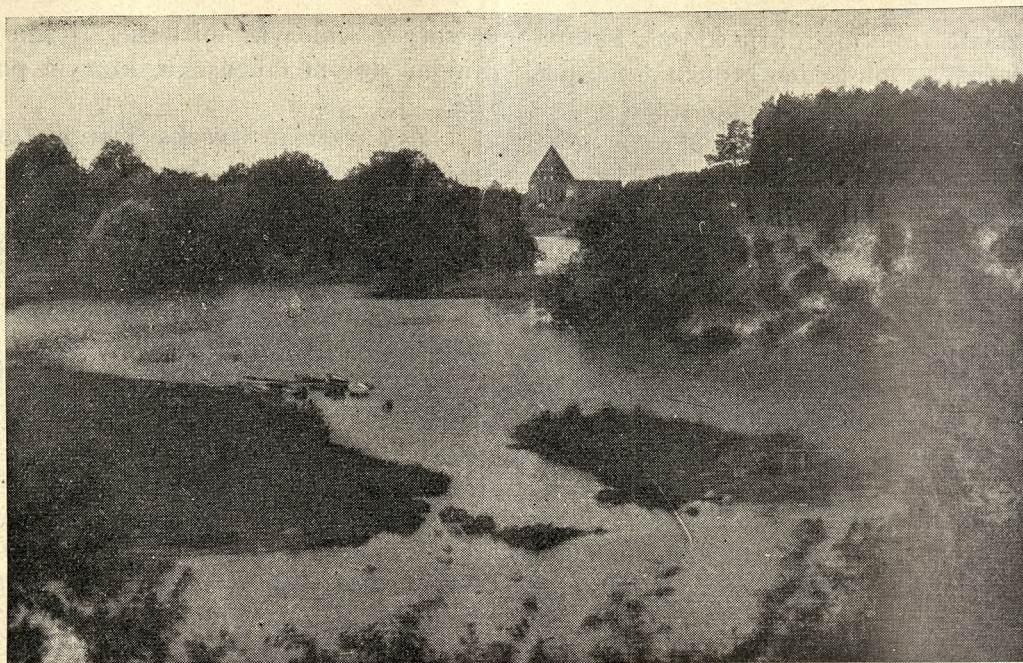
Następnego dnia wszyscy wyszli na długie godziny, a ja się bawiłem pod opieką Hanki, która szła. Nigdy już więcej nie widziałem panny Elizy.

Znów przeszedł czas jakiś. Przyszły kiedyś Babulki wieczorem. Były dzbanuszki ze śmietanką i misterne koszyki. A potem miałem pójść do nich z mamusią. Byłem już duży.

Zdawałem sobie sprawę, że wszyscy ludzie mają swoje domy, gdzie mieszkają i żyją nawet wtedy, gdy ich nie widzimy. Pędzą swój tryb życia, mają moc swoich spraw, zaczętych może o wiele dawniej, niż sięga nasza pamięć.

Z wielką emocją szedłem na tę pierwszą w życiu wizytę. Dom był stary i duży. Mroczne schody, wysłane chodnikiem, jakiś dziwny zapach, którego nikt nazwać nie umie, a znają go wszyscy. Zapach starego domu, podłóg, murów, mebli, wazonów.





Z okolic Tallina.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

TALLIN W DZIEŃ I W NOCY

(W związku z pobytem P. Prezydenta Rzeczypospolitej w stolicy Estonji)

Od momentu, w którym zobaczyliśmy poraz pierwszy dane miasto, zależy cały nasz dalszy do niego stosunek. Kto trafił do Wenecji w dżdżysty dzień, dla tego zawsze pozostanie ona zbiorowiskiem zapleśniałych ruder; kto podczas pierwszego śniegu przyjechał do Paryża, temu jawić się on będzie w pamięci czarno-białą akwafortą. Tallin pozostanie dla mnie zawsze miastem romantycznym, bo poznałam go w parną lipcową noc.

Było już dobrze po zachodzie słońca, gdyśmy

zawinęli do przystani. Zanim minęliśmy pustą i gładką o tej porze, jakby wicherem morskim wygoloną, dzielnicę portową, zapadł zmierzch. W pierwszą, wąską i krętą ulicę miasta zagłębiliśmy się, jak w wąwóz, nalany aż po wręby dachów popielatym płynem mroku.

Noc była jasna, nie biała już wprawdzie, ale perłowa. Niebo, bez gwiazd i bez księżyca, nie wisiało nad miastem, jak sklepienie, ale wsiąkało we wszystkie jego zaułki, każdą szczelinę zalewając ołowiem.



Dachy i wieże Tallina.



Charakterystyczny zakątek Tallina.



Wśród starych baszt Tallina.

Leżało na piersiach przechodnia, jak głaz, tłumiąc westchnienia. Nigdy jeszcze nie wydało mi się czemś tak bliskiem, smutnem i niezwykczonem. Nie płoszyło go żadne światło, skrzesane ręką ludzką. Na tej szerokości geograficznej nie zapala się latarni w lipcu. Noc ma zapewnioną swobodę i bezkarność.

W jej dusznych objęciach kroczyliśmy zwolna po bruku miasta-snu, jak po kamieniach z mgły. Były matowe i obojętnie przyjmowały nasze ostrożne stąpania. Przywykły widzieć do cięższych i twardszych kroków. Albo poprostu śniły się nam, jak to całe miasto.

Szliśmy ogłędnie środkiem ulicy, jakby bojąc się zbliżyć do murów, ulepionych z mroku. A nuż rozwieją się za dotknięciem? Za ich matowemi szybami napewno nie mieszka nikt. Może śpią tylko zjawy? I cóż, jeżeli raptem uchyli się okno, zasnute odwieczną pajęczyną i wyjrzy z niego głowa w lnianych rąbkach, fosforyzująca oczami wilkołaka, otwierająca siną ranę ust w szatańskim uśmiechu? Co będzie, jeżeli raptem usłyszysz szczęk żelaza po bruku i z za węgla wynurzy się pachol miejski z halabardą? A gdy się z nim zrównasz, pod burką ujrzysz kościotrupa, podpierającego się kosztorem z próchna. A za nim długi pochód płaszczy, zbroie, pióropuszy i muszkietów, pośmiertną defiladę Kawalerów Mieczowych, knechtów germańskich, szwedzkich rajtarów, „dzieci bojar-skich” w złotogłowach, jegrów moskiewskich i baronów niemieckich — wszystkich tych, co przez wieki gnębili tę ziemię...

... Stąpajmy ostrożnie — lepiej nie budzić śpiących.

* * *

Noc w Tallinie jest pełna przywidzeń; zato jakże promiennym i radosnym jest dzień!

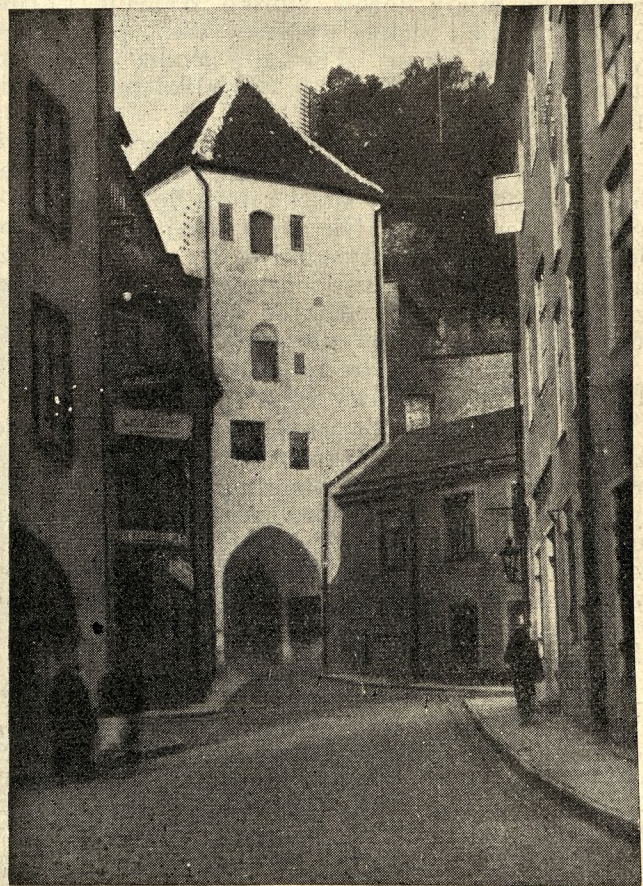
Pierzchły wszystkie zmyły. Zamiast nich krążą po ulicach ludzie barczyści, dostatnio przyodziani, syci.

Szafirowa toń nieba, z której ostry wichor morskimi wymiottł najdrobniejsze puchy obłoków, spoczywa na czerwonych dachach, jak na rafach z koralu. Wieża świętego Olafa błyszczącą włócznią bodzie błękit. Słońce orze każdą ulicę w nieregularne zagony światła i cienia, białe, niebieskie i czarne, jak na sztandarze estónskim.

Pod temi narodowemi barwami wkraczamy na terytorjum zamkowe. Niegdyś sępie gniazdo, dziś jest romantycznym zakątkiem. Kaskady zieleni spływają po spatynowanej cegle, skaczą przez mury i fosy, kapią po blankach, przeciekają przez strzelnice, oplókują balustrady krużganków. Morski wichor igra z warkoczami pnączy, szamocze się z krzewami, targa czupryny drzew, wprawiając cały pagórek zamkowy w śpiewny szum i drżenie. Nawet przysadziste baszty i donżony straciły wrodzoną nieruchawość i zdają się pisać po murawie, jak ochocze mieszczki w robronach, przepasanych zielenią.

Tak oto młode, zdrowe życie rozkwita na szczątkach murów, wzniesionych niegdyś ku grozie i przemocy.

Na jakimś placu wsiadamy w tramwaj, który wiezie nas za miasto, do parku. W gęstwinie drzew starej pańskiej rezydencji, ukryty, jak w mchu, złotawy grzybek — pałac Piotra Wielkiego, dziś zamieniony na muzeum sztuk plastycznych. Schludne komnatki, pełne starych obrazów i staroświeckich mebli, owiane tą atmosferą mieszczańskiej zasobności i spo-



Tallin: Podzamcze.

koju, w jakiej dobrze jest odpoczywać niepotrzebnym już nikomu pamiątkom po dawnych gospodarzach tej ziemi.

Zato od nowoczesnego malarstwa estońskiego bije orgja barw. Im bardziej na północ, tem namiętniej człowiek szuka słońca. I my też w pogoni za niem skwapliwie opuszczamy pałacyk, przez park dążąc na

wybrzeże. Skróś gęste żywopłoty słyhać stłumiony, jakby podziemny huk. To szumi morze. Ukazuje się ono nam nagle z za zieleni, jak ruchliwa granatowa taśma, pożyłkowana białemi karbami piany. Krótka, pośpieszna fala natarczywie bije o brzeg. Jakby chciała zatrzeć ślady obcych najeźdźców, po których zostały tylko martwe kamienie i żywa legenda.

ZOFJA MISZEWSKA

PO ZAMKNIĘCIU „KOMTURA“ *)

Ci wszyscy, którym po nocach spać nie dają bezpłodne marzenia podróżnicze, powinni byli odwiedzić wystawę Kom-tura. Tam bowiem, krocząc po śladach szlachetnie w pamięci potomnych zapisanej Pewuki — a przy odpowiednim wzruszeniu i nastroju — mogli nieomal dotykalnie pojąć zbliżenie rzeczy dalekich, które, jak góra, przysły do Mahometa i rozłożyły się na poznańskich terenach wystawowych.

Wystawa — swoją mało skomplikowaną „trasą“ — automatycznie przerzucała zwiedzającego z pawilonu do pawilonu, niezależnie od jego zamiarów, czy upodobań. Tylko wejście podlegało naszej wolnej woli i dlatego wybór ten był kwestją zasadniczą i płodną w następstwa. Ja weszłam przez tak zwany Pawilon Reprezentacyjny (myśli się jednak ciągle kategorją ś. p. Pewuki), więc też natychmiast znalazłam się „pod niebem słonecznej Italji“. Nie, nie było tam jeszcze ruin, ani trzęsienia ziemi, tylko bardzo ładny i precyzyjnie wykonany model portu Fiume, wraz ze wszystkimi urządzeniami i bogate, zakrojone na miarę dożów, stoisko Wenecji. Purpura, różgi liktorskie i piękne weneckie wazy przy wejściu były bardzo a propos. Wewnątrz model portu i miasta, artystycznie zrobiony (z oświetlonemi oknami lilipucich domków).

Obok stoiska włoskiego, pysznącego się swemi wyczynami na morzu, ulokowała się cichutko nasza Gdynia, zdobiąc ściany stoiska dużą ilością dobrze obmyślanych wykresów. Nie mogę w tej sprawie zabrać głosu, bo tego rodzaju rysunki są dla mnie przeważnie chińską gramatyką; natomiast utknęłam na dłuższy czas przed modelami naszych okrętów w skromnej liczbie osiemnastu. Zna się przecież historję każdego z nich, to też powitałam radośnie i stary, wysłużony „Lwów“, i świeży, nowy jeszcze — „Dar Pomorza“.

A potem wzniesliśmy się w powietrze, przekraczając rubikon czerwonego sznura, podtrzymywanego przez dwie złote, uskrzydłone niewiasty. Oczywiście, była to Francja (cherchez la femme), która oprócz modeli różnych aeroplanów, zawiesiła ściany pomyśłowemi planszami, obrazującemi rozwój poszczególnych maszyn, od odnośnego ptaka-protoplasty począwszy. Była to świetna lekcja pogładowa aeronautyki, zdradzająca specyficzny galijski — esprit.

Włosi i my wystawiliśmy poprostu maszyny i motory, motory i maszyny, a także specjalne latarnie, wyglądające, jak duże szlifowane djamenty. Chodziłam pomiędzy wielkimi płatowcami i szybowcami, dotykając zbożnie ręką ich pięknie wygiętych skrzydeł (był napis: dotykać nie wolno!). One właśnie, te skrzydła, zdawały się koncentrować życie aeroplanu, nie zaś maleńki kwadracik, z niewygodnym krzesłem dla pilota. Jak to pozory mylą!

Potem byłby salon samochodowy, gdybym przy-

szła dwa dni wcześniej. A tak, zostały tylko — Brzeski-auto, i to w stanie szczątkowym, oraz efektowne, ale puste już stoisko Zetki. Pozatem, gołe deski i brudna, znaczone śladami kół, posadzka. Myli ją właśnie jacyś robotnicy, patrzący na moją spóźnioną ekskursję z niekłamanem politowaniem.

Zgnębiona więc przebrnęłam przez las motocyklów, oraz przez pawilon poczt i telegrafów, straszący zdaleka białą wykresów. Zato pawilon tramwajowy dostarczył mi wiele wzruszeń, jako że najwięcej ziścił moje dalekobieżne marzenia. Pociągi bowiem, ogromnie pompatycznie stojące pod gołym niebem, zaciekle broniły swych wnętrz przed ciekawością intruzów. Można je było pokornie obejrzyć z dwóch stron, zaglądając dla wzmocnienia efektu w każde okno, ale kontaktu uczuciowego nie było! Nawet ta odwieczna stara lokomotywa, o której tak ładnie napisał Wasylewski, była otoczona tysiącem — „nie wolno!“ Ale tramwaje! Odrazu można było wejść do środka, usiąść na śmiesznych krzeselkach włoskiego wagonu i, przymknawszy oczy, jechać z jednego piazza na drugie w jakimś odległym, włoskim mieście. A w szczelinach tramwajowej podłogi tkwiły jeszcze przecież pyłki ziemi i błota. Włoskiego, naturalnie! Czyż można mieć więcej złudzeń?

To był kraj fantazji, jeżeli zaś chodzi o rzeczywistość, to serce rozpierała mi duma dzielnicowa, skoro zauważyłam, że ostatni model warszawskich tramwajów króluje nad wszystkimi innemi, zgromadzonemi w hali. Łódzkie — dziady; poznańskie — praktyczne, zdrowo myślące, ale bez polotu; lwowskie — owszem, mile, z wdziękiem, z tradycją, szczególnie ten weteran: „Wystawa—Waly Hetmańskie“. A warszawski? ho, ho, i dystynkcja, i fason, i wygoda, ho, ho!...

Z hali tramwajowej, jeszcze drżącą ze wzruszenia, wyrzuciło mnie wyjście wprost w objęcia pawilonu Turystyki. Tam to właśnie zaczyna się prawdziwe podróżowanie, ze wszystkimi akcesorjami, do stania w ogonku włącznie. Stoi się w ogonku do bioskopu, aby potem podziwiać najpiękniejsze widoki Francji. Najprzyjemniej było stać na szczycie Notre Dame, tuż koło jednego kamiennego potworka. Poza tem — dużo ładnych reklam uzdrowisk francuskich, wiele fotografii i ogromnie ciekawa galerja francuskich strojów ludowych. Dokonywałam bohaterkich wysiłków, aby dostać odnośne fotografie. Niestety, żadne stoisko ich nie posiadało.

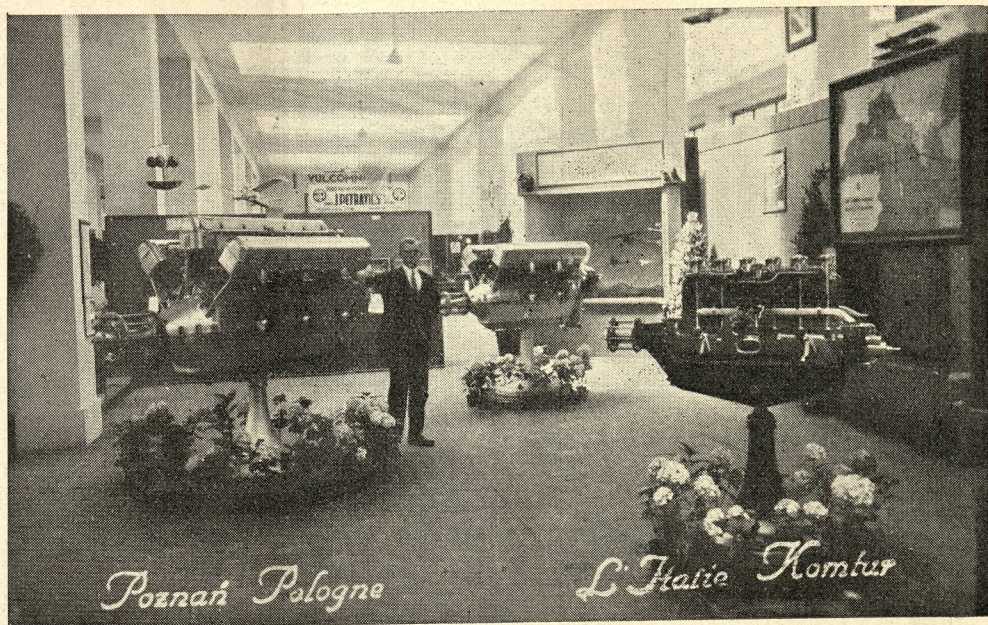
Z państw obcych najokazalej wystąpiła Rumunja, a najgorzej — Grecja. Rumunja dała całą kolekcję fotografii okolic, strojów i obyczajów, obok wyczerpujących danych liczbowych. W stoisku Grecji, oprócz kilku fotografii antycznych, rzeźb z poobtłu-

*) Część eksponatów Komtura będzie wystawiona w Warszawie w lokalu Touring-Clubu w końcu sierpnia.

kiwanemi nosami, nic więcej nie było. Odnosi się wrażenie, że poza temi szczątkami dawnej chwały współczesna Grecja wcale nie istnieje. A jest przecież taka piękna!

Całe pierwsze piętro gmachu zajęła sobie Polska i trzeba przyznać, że tę wielką przestrzeń wykorzystwała do ostatniej tafelki posadzki. Czego tam niema! Każde województwo oszalało pod hasłem „zastaw się, a postaw się”—i zwiozło do Poznania, co tylko mogło, aby się przed innymi nie powstydić. Mamy zatem modele zabytków, chat chłopskich, mamy całe zatrzesienie strojów ludowych, okazy przemysłu ludowego, a przede wszystkim fotografie. Na każdym niemal kroku spotykamy dużej wartości zdjęcia, przedstawiające zabytki całej Polski. Większe miasta ulokowano w oddzielnych stoiskach, nieraz bardzo ciekawie pomyślanych. Więc np. Kraków odtworzył w minaturze swój stary rynek; Warszawa dała ładne przezrocza, migając przytem elektryczną strzałką po planie miasta; Lwów opowiada o swoich Orłętach, a Poznań, obok całej o sobie literatury i ratusza, wystawił piękne pasy słuckie i inne cudowności, będące własnością wielkopolskiego ziemiaństwa. W skróceniu przechodziło się przez nastroje i koloryty wszystkich dzielnic, od barwności łowickich począwszy, poprzez zbożny majestat ołtarzy solnych w Wieliczce, aż do ciemno-szarych, kanciastych form bytowania Górnego Śląska. Tam dopiero, przy sentymencie starych, drewnianych kościółków, można było wyluskać duszę z chaosu wrażeń i iść na dalsze poszukiwania.

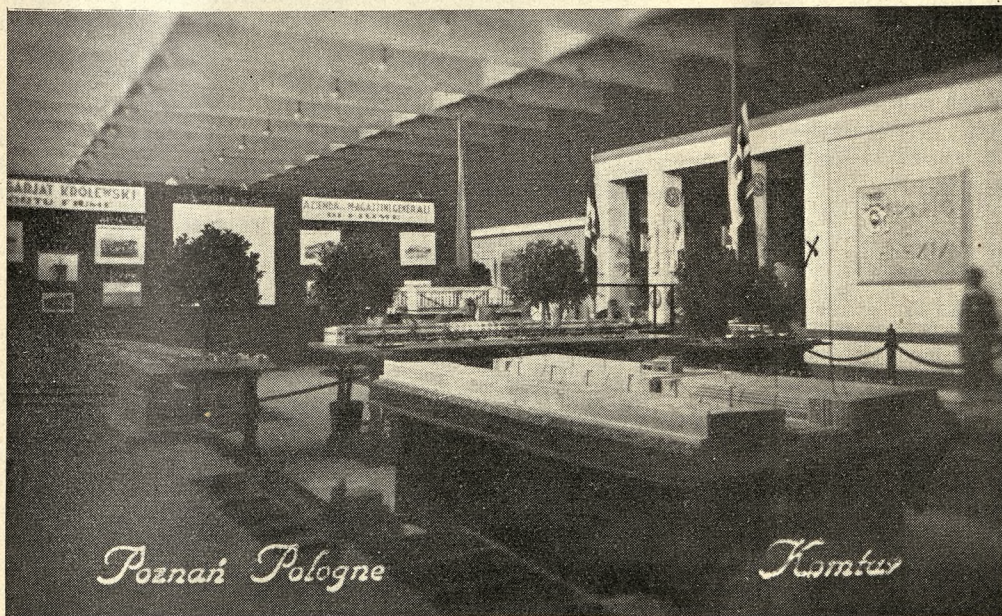
W wędrownicy tej można się było nietylko wzruszać, ale i ciekawić ciekawością zaiste egzotyczną. Oto



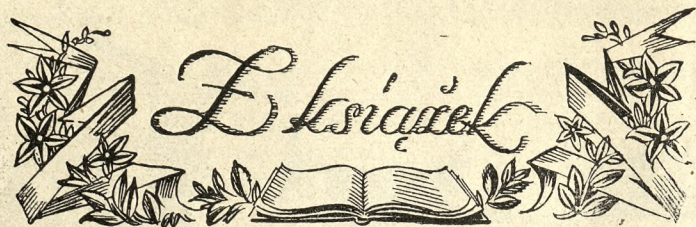
Hala aeroplanów.

w jednym rogu sali rozłożyli swe trofea podróżnicze inżynierowie Perkitny i Mroczkiewicz. Dzielni ci młodzieńcy, niby żywcem wyjęci z powieści Verne'a, przemierzali szmat świata z... 35 złotymi w kieszeni, zarabiając po drodze w rozmaity, często bardzo pomysłowy sposób. Teraz, na Komturze, rozłożyli trofea swej wyprawy i setki fotografii. Miałam widać wyjątkowe szczęście, bo znalazłam się przed ich stoiskiem w chwili, kiedy inż. Mroczkiewicz we własnej osobie dawał znajomemu towarzystwu komentarze do fotografii. Nadstawiałam pilnie uszu, nibyto kontemplując skórę autentycznego węża, zwisającą melancholijnie nad wdzięczną jego podobizną. Niestety, z powodu braku miejsca, nie mogę opowiedzieć rezultatu tego pod-słuchu. Więc poco było zaczynać, prawda?

Stoisko dzielnych podróżników było ostatnim etapem w pawilonie Turystyki. Przeszłam następnie do pawilonu Ministerstwa Komunikacji, który był bodaj najgustowniejszym pawilonem na całej Wystawie. Nie wiem, kto go urządził, ale musiał to być artysta nielada, skoro umiał zgrupować wszystko z takim poczuciem barw, linii i umiejętnego rozplanowania brył. Nawet wykresy, nawet statystyki, o których poprzednio tak pogardliwie pisałam, teraz rwą oczy artystycznym wykonaniem. Nawprost głównego wejścia wisiała wielka mapa Polski, ilustrująca ruchomą elektryczną linią sieć dróg kolejowych. Potem już chodziło się od modelu dworca do wykresów i statystyk, a od statystyk znów do modeli mostów i urządzeń kolejowych. Najciekawszym jednak był dział badań psychotechnicznych, postawiony na bardzo wysokiej stopie.



Stoisko włoskie wraz z pawilonem Wenecji.



Anna Słonczyńska: „Barwy i dźwięki”. Nakład księgarni św. Wojciecha.

„Niebieski Gość” był poetycką sumą duchowej postawy poetki wobec Chrystusa; „Barwy i dźwięki” — to artystyczny wykładnik jej stosunku do wszechświata. Przejście od Stwórcy do stworzenia umożliwiło poetce swobodniejszy oddech, nieskrępowany rytuałem religijnym. Jeżeli w „Niebieskim Gościu” przeważa refleksyjny chłód, w „Barwach i dźwiękach” góruje nastawienie uczuciowe. Z kontemplacji zmysłowej, ze świadomego wchłaniania wrażeń wzroku i słuchu, czasem nawet węchu i dotyku — rodzi się uczucie estetycznej rozkoszy, potęguje się aż do zachwyty, sięga nieledwie wyżyn ekstazy.

Obracamy się właściwie ciągle w kregu pojęć religijnych, choć o Bóstwie prawie się nie mówi; pod powłoką jednak zachwyty dla pięknego dzieła pulsuje cześć i podziw dla Miśtrza. Za błękitem „Boga można przeczuć, jak twarz za welonem”. Umiłowanie przyrody, jej bezinteresowny kult — to przecież jedna z tych rozkoszy dozwolonych, którym oddawali się nawet święci, przede wszystkim św. Franciszek z Assyżu, a która jest zawsze przywilejem dusz wybranych i samotniczych. W tem umiłowaniu przyrody poetka odnajduje swoją kobiecość, dotychczas wstydliwie pomijaną. Namętne pragnienie posiadania, żywiołowa tęsknota do brutalnych, aż bolesnych w swej gwałtowności, wstrząsów bije już z pierwszych kart książki.

„Pragnę barw, barw aż siedmiu, wszystkich barw twych, o tęczo: niech mnie głaszczą, niech kłują, niech weselą, niech dręczą! Pragnę wrzące, syczące, buchającej purpury: niech mnie w uścisk swój chwyci, jak w rozkoszne tortury! Pragnę dzikiej, krzykliwej, laskoczącej wzrok miedzi: niech mnie lechce, aż wpadnę w płacz i w śmiech w odpowiedzi!”

I tak dalej, przez wszystkie siedem barw tęczy. W wierszu p. t. „O, wchłaniać piękność świata!” poetka rozwija całkowity program rozkoszy, płynących z upojenia światem.

„O, wchłaniać piękność świata: w jej czarach całe swe szczęście zamykać, nią upajać się, nią się uciszać, nią sycić wieczny swój głód!”

Słońce, wiatr, ziemia, niebo, roślinność, morze, burza, deszcz, tęcza, zapachy ziemi, gorąco i chłód, cisza i noc — wszystko dyszy słodką pokusą, wszystko niesie żądę rozkoszy i obietnicę jej nasycenia. Kipi w tem jakiś podświadomy kosmiczny erotyzm, przez to oryginalny i ciekawy, że nie szuka sobie cielesnego przedmiotu zaspokojeń w świecie ludzkim.

Inna sprawa, że wyobraźnia poetki od tego ludzkiego świata oderwać się nie może, w nim chętnie szukając skojarzeń myślowych i figur retorycznych. Okręt dla niej — to czarodziej, wiatr podjudza bestje fal, mewy powiewają morzu, jak chustka, pomarańczowa barwa pyszni się i drwi; dzień — to poganin, zmierzch — to wyrzut sumienia; niebo zwleka z siebie bisior i przyjmuje z rąk chmur włosienność; nagle fontanny drżą w tańcu, rzeki całują wybrzeża, drzewa zginają karki, ziemia zapala gromnice gwiazd.

Ten antropomorfizm ma w sobie coś klasycznego, jakąś hieratyczną, nieco sztywną pasagowość, ale jest zgodny z psychiczną organizacją poetki, jest wyrazem jej naturalnych upo-

dobań i predyspozycji, a w niektórych utworach — np. „Melodja zmierzchu” — pozwala jej osiągnąć pełnię nastroju i artystycznego wyrazu.

W rozwoju twórczości Anny Słonczyńskiej „Barwy i dźwięki” stanowią etap nowy i interesujący, po którym można się spodziewać dalszych rewelacji. W szarym murze klasztor-nym wybito okno, przez które wtargnął polny wiatr i weszło słońce.

S. P. O.

Z TEATRÓW

Teatr Letni: „Egzotyczna kuzynka” — komedia w 3 aktach L. Verneuil’a — tłum. J. Strachockiego. Reżyserja Wiktora Biegańskiego.

W oryginale nazywa się to: „Kuzynka z Warszawy”, co dało poniekąd, dbałym o honor narodowy osobom, asumpt do obrazy — nie wiem, czy słusznej, bo libertynizm tej żywiołowej słowianki ma przekonywującą siłę szczerości, której próżnoby szukać zarówno w przebiegłej hypokryzji paryżanek, jak i w wykwintnej obyczajowości pozorów, umiejętnie kultywowanej przez... francuzki Północy.

W przekładzie polskim zmieniono przezornie Warszawę na Moskwę i kazano egzotycznej kuzynce zaczynać z rosyjska, co zresztą świetnie robiła pani Gella. Jej Sonia nie jest wampirem, nie jest nawet w swoim pojęciu kobietą niemoralną. „Nie jestem mężatką — mogę prowadzić się, jak panna!” oto naiwne hasło, w imię którego gotowa jest cały świat przewrócić do góry nogami.

Na dnie tej nieokiełznanej natury tkwi jednak podświadomy romantyzm. Sonia, wielka awanturница, nie jest poszukiwaczką przygód: jest poszukiwaczką wielkiej miłości. Że po drodze nie gardzi jej drobnymi nawet okrucami — to już sprawa jej temperamentu; czyni to jednak z tak rozbijającą dezynwolturą, że chętnie przebaczymy jej tę wszechstronność, byleby nareszcie trafiła na swój typ.

Czem kto wojuje, od tego ginie. Sonia trzy razy objechała świat, żeby znaleźć ową wielką, prawdziwą miłość, i nareszcie znajduje ją... w Saumure. Przedmiotem jej jest piękny malarz Hubert, którego Sonia odbija swej kuzynce, zrazu na usilne prośby jej męża, potem pod nakazem żywiołowej namiętności obojga. Już, już się zdaje, że szalona miłośnica zwinie do spokojnej przystani uczuć statecznych i dozgonnych. Zapomniała, że mężczyzna z przeszłością nie tak łatwo się jej wyrzeka, jeśli mu jest.. wygodna. Chwila rozmowy Huberta z dawną kochanką przekreśla wszystkie uniesienia i przysięgi miłosne. Sonia, odchodzi, ugodzona w samo serce.

Wpadła, jak wicher stepowy, w trójkąt małżeński, zamąciła stojącą wodę rodzinnego bagienka, a w ostatecznym rozrachunku wychodzi, zgrana do nitki. Dała z siebie wszystko — nie zabrała nic. Koguty galijskie oskubały doszczętnie słowiańską jastrząbkę.

Temat, jak widzimy, raczej komedjowy, ujęty został przez autora farsowo z zastosowaniem banalnych, dawno już wycofanych z obiegu, efektów. Poza wyrazistą postacią Soni, której charakter doskonale uchwyciła Gella, trzy pozostałe osoby są zwykłymi rekwizytami teatralnymi, bez twarzy i bez kregosłupa. To też przez wykonawców traktowane były albo chwiejnie (Gzylewska, Lenczewski), albo groteskowo (Orwid). Reżyserja też stanęła na rozdrożu między komedjowem scherzo, a farsową galopadą. Przekład chwilami karykaturalnie dosłowny. Po polsku nie mówi się „Miejscal!” (place!), tylko: „Z drogi!”

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

FEDERACJA AMERYKANEK W STOLICY POLSKI

W tygodniu bieżącym przybyła do Warszawy grupa członkiń Federacji Pracy Kobiet Stanów Zjednoczonych. Przewodniczącą wycieczki jest adwokatka nowojorska, Miss Philips. Grupa ta ma zamiar zwiedzić Polskę, Austrię, Niemcy, Finlandję i Norwegję; druga część członkiń Federacji objedzie Anglję, Holandję, Belgję, Włochy i Niemcy. Wszystkie członkinie wycieczki będą nadto uczestniczyły w Międzynarodowym Zjeździe kobiet pracujących zawodowo, który odbędzie się w Szwajcarii. Przyjęciem Miss Philips i jej towarzyszek w Warszawie zajął się specjalny komitet, utworzony przy Polsko-Amerykańskiej Izbie Handlowo-Przemysłowej.

AMERYKANKA ODZNACZONA LEGJĄ HONOROWĄ

Pani Małgorzata Brown (dawna Miss Boyle) została w tych dniach odznaczona oficerskim Krzyżem Legji Honorowej, za zasługi, położone dla Francji w czasie wielkiej wojny. Dekoracji dokonał generał Dubail.



Odznaczenie pani Brown Legją Honorową.



Czternastoletnia pilotka.

NIEDŁUGO ZACZNĄ PILOTOWAĆ NIEMOWLĘTA.

Laury Amy Johnson, Winnifred Brown, lady Bailey i wielu innych „asów” kobiecego lotnictwa angielskiego nie dają spać spokojnie ich młodym, zapalonym rodaczkom. Czternastoletnia (wyraźnie) pensjonareczka, Miss Lesslie Mant ukończyła właśnie szkołę pilotażu i uzyskała prawo jazdy. Miss Lesslie jest, pomimo wielkiego zapału, osobą rozsądną i oświadczyła, że *dopiero* za trzy lata, z chwilą ukończenia 17 roku życia, wystartuje do Ameryki, poprzez Ocean! Obecnie lata tylko w Anglii.

POLICJANTKI W POLSKIM PORCIE

W Gdyni utworzono oddział kobiecej policji obyczajowej. Rozrastający się do kolosalnych rozmiarów ruch okrętowy przez Gdynię tworzy z niej dziś już wielki port. Jak zwykle, w tak liczny i z różnorodnych żywołów złożony środowisku, obok interesów i przedsiębiorstw godziwych, powstają i inne, mianowicie handel żywym towarem, zawsze łatwy w mieście portowym. To też placówkę kobiecej policji obyczajowej w Gdyni powitać trzeba z uznaniem.

TRZEBABY ICH O WIELE WIĘCEJ

W dniu 30 lipca b. r. zakończony został egzaminem i rozdaniem świadectw w Państwowej Szkole Higieny pierwszy kurs dla higienistek wiejskich. Kurs teoretyczny trwał od 2 listopada 1928 r. do 2 sierpnia 1929 r., poczem słuchaczki odbyły roczną praktykę na terenie. Wobec ogromnego zapotrzebowania pracownic tego typu, niewielka, bo licząca zaledwie 34 osób grupa nie pokrywa nawet najpilniejszych potrzeb w tej dziedzinie.

ILE ZARABIAMY?

Ciekawe dane, dotyczące pracy kobiet, wykazuje statystyka. Przedewszystkiem w każdym poszczególnym kraju zaznaczają się wybitne różnice płac męskich i kobiecych, dochodzące do 50 procent. Przytem różnice w płacy wahają się w stosunku do różnych rodzajów przemysłu. W Anglii np. kobiety zarabiają mniej we wszystkich przemysłach, z wyjątkiem włókienniczego, gdzie płace są równe; w Austrii kobiety mają stałe połowę płac męskich; w Holandji wszędzie płacą kobietom mniej, najwyższe zarobki, wynoszące 87 procent płacy męskiej, osiągają zecerki (b. dobry, a zaniedbany przez kobiety fach); w Kanadzie najgorzej (do 50 procent różnicy) płacą krawcowym i tkaczkom; w Niemczech znów najlepszą stosunkowo płacę, dochodzącą 72 procent zarobku mężczyźni, dają kobietom zajęcie w przemyśle meblarskim, o dziwo! stolarskim i chemicznym; w Norwegii wynagrodzenie w przemyśle jest marne, rzemieślniczki jednak zarabiają tyle, ile mężczyźni. W Szwajcarji wszędzie mniej, z wyjątkiem krawiecczyny i zegarmistrzostwa (także doskonale rzemiosło).

W Polsce kobiety stanowią 25 procent ogółu robotników, zatrudnionych w przemyśle; najwięcej kobiet pracuje w przemyśle włókienniczym, odzieżowym i spożywczym; dalej — w mineralnym, metalowym, drzewnym i maszynowym. Różnica płacy waha się od 30 do 50 procent zarobków męskich. Ujawnia się, niestety, u pracodawców dążność do przyjmowania kobiet niezamężnych, dla uniknięcia świadczeń na ochronę macierzyństwa i zakładania żłobków dla niemowląt.

NIE BĘDĄ „LORDAMI“!

„Izba wyższa w uwzględnieniu *oddawna zdobytego równouprawnienia kobiet w Anglii*, w uwzględnieniu należenia kobiet do Izby Gmin, współpracy ich w rządzie królewskim, uchwali odpowiednie zarządzenia, które dadzą w przyszłości kobietom dostęp do Izby wyższej, na tych samych warunkach, na jakich należą do niej mężczyźni“.

Więc „równouprawnione“ angielski nie należą do Izby lordów? Tak, nie należą. Miss Bondfield jest ministrem, ale do Izby lordów ma wstęp zamknięty; lady Astor jest posłanką w Izbie gmin, ale, pomimo, że należy do arystokracji rodowej, nie wolno jej być wybraną do „wyższego“ parlamentu, gdzie zasiada jej mąż, na zasadzie tych samych praw rodowych.

Anomalje te wynikają z całego ustroju parlamentaryzmu angielskiego i angielskiej psychiki, mieszącej w przedziwnie kontrastowy sposób konserwatyzm z postępem. Obecnie jednak sporo ludzi ma już tych kontrastów dosyć i właśnie lord Astor wniósł w ubiegłym tygodniu przytoczoną powyżej rezolucję o otwarciu kobietom bram ostatniej twierdzy ich poniżenia. Naturalnie, złośliwi będą twierdzili, że zrobił to z namowy żony. Jednakże obok lady Astor stoja tysiące kobiet, które donośnie wołają o zniesienie tego dziwnego prawa, tem dziwniejszego wobec faktu, że Anglią rządzą socjaliści. A że rząd Mac Donalda ma i bez kobiet dosyć kłopotu z opozycją, a opozycji też zależy na kobiecych głosach, dzielne i mądre „arystokratki“ z tytułów, a zapalone i pracowite obywatelki z działalności, miały nadzieję zwycięstwa, jednakże nadzieja ta zawiodła, projekt lorda Astora przegłosowano większością 2-ch głosów. Trzeba jeszcze poczekać.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Jednym z krajów nadbałtyckich, który, zmieniając ciągle władców, ciągle tęskniąc do wolności, potrafił zachować odrębność narodową i w pierwszym sprzyjającym momencie zbudo-

wać i utrwalić niepodległość, jest Estonja. Od 13-go wieku władali tym krajem kolejno Kawalerowie Mieczowi i Krzyżacy, duńczycy, szwedzi i rosjanie, aż wielka wojna i upadek państwa carów wyzwoliły dzielny naród.

Estowie nie zapomnieli nigdy, że, kiedy kolejną wojen, część ich kraju przypadła Polsce, był to dla ziem, przez nią zajętych, czas dobrobytu i kulturalnego rozwoju. To też od początku odrodzenia, Polska i Estonja zawiązały stosunki serdecznej przyjaźni. Niedawno witaliśmy w Warszawie Naczelnika Estonji, dr. Strandmana, obecnie wyjechał z rewizytą Pan Prezydent Rzeczypospolitej.

Przyjęcie Najwyższego Przedstawiciela państwa polskiego odbyło się z niezwykle uroczystością. Eskortowany przez eskadrę torpedowców i samolotów wojennych estońskich, wśród salw armatnich i dźwięków hymnu narodowego wjechał torpedowiec „Polonja“, wiozący p. Prezydenta, do portu Tallina. Na brzegu oczekiwali Dostojnego Gościa: Naczelnik Państwa, dr. Strandman, ministrowie, prezydum parlamentu, wyżsi wojskowi, przedstawiciele władz miejskich, delegaci miast, wsi i powiatów, profesorowie wyższych uczelni, korporacje studenckie, młodzież szkół średnich i tłumy publiczności. Prawdziwie wzruszający był moment, kiedy dwie dziewczynki, uczennice szkoły średniej, wręczyły Panu Prezydentowi olbrzymią wież róż, przyczem jedna z panienek wypowiedziała słowa powitania od dzieci estońskich.

Dwudniowy pobyt P. Prezydenta w Tallinie był jednym szeregiem przyjęć, mów i gorących owacyj. Burmistrz miasta, witając Gościa w Ratuszu, zaznaczył, że w archiwum stolicy przechowywane jest ze czcią pismo króla Zygmunta III, nadające miastu przywileje polskie. Z manifestacjami dla Przedstawiciela i Naczelnika państwa połączyła Estonja hołdy, oddane osobie wielkiego uczonego: delegacja prastarego, świetnego uniwersytetu dorpackiego wręczyła P. Prezydentowi dyplom honorowego profesora tej uczelni.

We wszystkich uroczystościach brały udział liczne panie estońskie, między innymi p. generałowa Törwand-Tellanen, jedna z wybitnych członkiń Tow. Polsko-Estońskiego Zbliżenia i żona ministra spraw zagranicznych, p. Lattikowa.

Jeden z ważnych momentów ubiegłego tygodnia stanowiła też bytność dwóch ministrów francuskich w Polsce. Pp. Perrot, minister komunikacji i Eynac, minister lotnictwa zwiedzili Wystawę Turystyczno-komunikacyjną w Poznaniu, i bawili w Warszawie. Obaj przedstawiciele rządu francuskiego nie szczędzili słów uznania a nawet zachwytu dla Polski. Z pobytu w stolicy naszej p. Eynac połączył się doniosły fakt zawarcia konwencji lotniczej między Polską i Francją. Podpisana przez p. Eynac i ambasadora Laroche w imieniu Francji, przez p. ministra Kühna, ze strony Polski, umowa przewiduje, obok utrzymania dotychczasowej komunikacji lotniczej między Warszawą a Paryżem przez Pragę, nowe dwa połączenia przez Berlin, oraz tworzenie innych linii lotniczych polsko-francuskich i ustala system celny. Konwencja ta ma duże znaczenie dla rozwoju naszego lotnictwa handlowego i komunikacyjnego.

W 16-tą rocznicę wymarszu Legionów na walkę o niepodległość odbył się w Radomiu zjazd legionistów, na który przybył Marszałek Piłsudski, dawni legjoniści, dziś wysocy dostojnicy wojskowi i państwowi, oraz tysiące „szarej braci“ legiunskiej. Uroczysta msza polowa na rynku, odprawiona przez ks. biskupa Bandurskiego, liczne mowy, akademja i wielki bankiet wypełniły program zjazdu, który upłynął w serdecznym nastroju wspominających dawne wspólne walki kolegów broni.

W dniu 10 sierpnia obchodzono uroczystości w Ameryce 50 rocznicę założenia Związku Narodowego Polskiego. Zrzeszenie to, powstałe z inicjatywy wielkiego patrioty i bojownika o wolność, emigranta Agatona Gillera, postawiło sobie za zadanie utrzymywanie stałego kontaktu z Polską i przeciwdziałanie wynarodowieniu polaków amerykańskich.

NASZA TURYSTYKA I JEJ NIEWYGODY

Poznanie własnej ziemi jest bezsprzecznie rzeczą korzystną, a nawet wprost obowiązującą każdego, w myśl zasady, że aby ojczyznę pokochać, trzeba ją poznać. Zarzut, stawiany nam, że cudze chwalimy, swego nie znamy i sami nie wiemy, co posiadamy — obciąża sumienie Polaka, jeśli rzeczywiście jest zgóry źle uprzedzony do wszystkiego, co swojskie, i tylko zagranicą szuka piękna; gdy imponuje mu tylko to, co obce, tylko zachodnią kulturę chwali, a dorobku, z trudem zdobytego przez kraj własny, nie docenia i traktuje go z lekceważeniem, a nieraz i z pogardą.

Sprawiedliwość nakazuje stwierdzić, że są i tacy między nami. Spędziwszy czas dłuższy poza granicami kraju, zakosztowawszy wygodę w bogatszych i pod względem technicznym bardziej postępowych krajach, nie myślą o warunkach, w jakich bytowaliśmy przez długi okres niewoli; zapominają, że ci, co nam swoje rządy narzucili, starali się tamować nasz rozwój gospodarczy, bronili dostępu „nowinkom” z Zachodu, że wszelki postęp straszakiem był dla tyranów. Ci „kulturalni” zachodnio-europejscy Polacy krytykują bezwzględnie wszystko, nie rozróżniając, czy przyczyną niedoborów jest nasze własne niedbalstwo, czy wynikły one niezależnie od naszej woli.

Nie myśmy temu winni, że drogi w naszym kraju często są wyboiste, lub że ilość ich jest niedostateczna; że wiele jeszcze miejsc, godnych poznania, odcięte jest od świata, gdyż prowadzą do nich drogi wprost straszne, trudne do przebycia nawet konno lub na mule. Nie odrzućmy da się wybudować dobre szosy, zwiększyć ilość kilometrów drogi żelaznej oraz liczbę i szybkość pociągów — wymaga to długich lat pracy i wielkiego kapitału, więc na to bez szemrania cierpliwie czekać musimy.

Ale obok tych rzeczy, wynikłych zasadniczo nie z naszej winy, lecz mogących niejednego zniechęcić do zapoznania się z dziełami sztuki i architektury, czy miejscami godnymi widzenia we własnym kraju — są niestety, i takie, których powodem jest własna nasza niezaradność i niedbalstwo; a jednak trochę dbałości o wygodę podróżujących po Polsce mogłoby skutecznie temu zaradzić i do turystyki zachęcić. Dziś każdy, kto zrobi sobie jakiś plan podróży i pragnie poznać daną część kraju, wie zgóry, że czekają go różne nie-miłe niespodzianki, że narażony być może na wszelkie niewygody, a czasem nawet na warunki, wprost niemożliwe do przyjęcia.

W miejscowościach, uczęszczanych w sezonie, turysta, przybywający na dni parę, cudem chyba nocleg znaleźć może i źle jest wszędzie widziany, bo gość, który parę tygodni chce tu przepędzić, więcej korzyści przyniesie. Brak odpowiedniej ilości hoteli i pensjonatów daje ich właścicielom pole do wyzysku. Gość, zagrożony tem, że przyjdzie mu przenocować pod gołym niebem, zgodzi się na zapłacenie nieraz horrendalnej sumy za byle jaki kąt, szczególnie, gdy chodzi o krótki czas pobytu, więc też nie robią sobie z nim ceremonii.

Łóżko, trzeszczące przy każdym poruszeniu; zdezelowany materac, którego sprężyny, uprzykrzywszy sobie długoletnie przebywanie w ciemności, postanowiły wyrzucić na światło dzienne; kołdra z kępkami poszarzałej waty, wyzierającymi przez szczeliny po-

krycia, podarta poszewka i prześcieradło — zostają łaskawie udzielone gościowi, bez najmniejszej troski o to, czy ofiara własnej ciekawości, co ją w te strony zagnała, będzie mogła w ten sposób zasnąć i wypocząć. Reszta umeblowania, uzgodniona w stylu, nie zachęca do dłuższego przebywania w tym miłym zakątku. Miednica, wielkości średniej salaterki, i kwartowy dzbanuszek drogiego płynu, pospolicie zwanego wodą, świadczą o tem, że wymyślne ablucje nie są tolerowane pod tym gościnnym dachem.

Ci, którym zdarzyło się odbywać choćby parotygodniową wycieczkę po Polsce, wiedzą z doświadczenia, że wyżej przytoczone szczegóły są zgodne z rzeczywistością. Nieraz zdarza się, że w braku lichtarza, świeca zostanie obsadzona w butelce lub przyklepiona do stołu, po uprzednim nakapaniu stearyny; że pokoju w żaden sposób zamknąć nie można, gdyż zamek jest popsuty; że drzwi szafy wypadają przy każdym jej otwarciu, dzwonki nie dzwonią, a nawet, jeśli dzwonią, nikt ze służby nie śpieszy na to wezwanie. Ten brak najprymitywniejszej wygody i porządku, na jaki turysta bywa narażony w wielu naszych pensjonatach, wywołać musi słuszne niezadowolenie i narzekania. Nic dziwnego, że ludzie, przyzwyczajeni do czystości, porządku, dbałości o wygodę gościa i uprzejmości właścicieli pensjonatów i hoteli zagranicznych, oburzają się na to, z czem się spotykają we własnym kraju i tęsknią za czemś lepszym poza jego granicami.

Chęć osiągnięcia nadmiernych zysków i brak wyszkolenia w zawodzie hotelarskim są tych niedomagań główną przyczyną. W Szwajcarii — w tym kraju najbardziej ożywionej turystyki, a więc i największych hoteli i pensjonatów — hotelarstwo traktowane jest jako specjalność, do której odpowiednie studia i paroletnia praktyka muszą przygotować tego, kto obiera sobie ten zawód, jako źródło zarobkowania.

U nas każda z pań czuje się na siłach prowadzić pensjonat na tej zasadzie, że przecież zajmowała się gospodarstwem we własnym domu. Zabiera się więc do rzeczy, najczęściej bez odpowiedniego kapitału, wynajmuje pomieszczenie, którego odpowiednio umeblować nie jest w możności, nie umie prowadzić kalkulacji: nie wie, czy, opłaciwszy komorne, służbę i inne koszty handlowe, związane z przedsiębiorstwem, oprocentuje odpowiednio włożony kapitał; brak doświadczenia naraża ją na straty. Widząc, że interes nie przynosi oczekiwanych zysków, nakłada haracz na gości, nie myśląc wcale o tem, że za zapłatę, jaką pobiera, uczciwość nakazuje dać im odpowiedni ekwiwalent w wygodach, których mają prawo żądać. — „Nie wydziwiać — tylko płacić” zdaje się tu być prawie ogólnie przyjętą zasadą.

Zjawisko to, dzisiaj bardzo często spotykane, jest może najważniejszą przyczyną, utrudniającą rozrost naszej turystyki. Wyszukanie się w gospodarce hotelarskiej jest dziś nieodzowne, coraz więcej osób to rozumie. Miejmy więc nadzieję, że w niedalekiej przyszłości poprawią się prawdziwie oplakane dziś na tem polu stosunki, co niewątpliwie zachęci nie tylko swoich, ale i obcych do liczniejszego zapoznawania się z tem, co w naszym kraju godne jest widzenia, a czego przecież mamy niemało.

L. G.





Kwiecnik z dalij „mieszające wielkokwiatowe“, rzućny na tło trawnika.

HODOWLA BYLIN

I. DALJE.

Byliny są bezsprzecznie największą ozdobą naszych ogrodów. Umiejętnie dobrane, oddają sobie berło kwitnienia, nieomal że z godziny na godzinę, a tem samem są gwarancją trwałej dekoracji rabat i kwiecników.

Bylinami nazywamy rośliny zimotrwałe, których żywot trwa długie lata. Rozróżniamy pomiędzy niemi rośliny, zimujące w gruncie i takie cebule, bulwy, lub kłącza, które przechowujemy przez zimę w suchej, chłodnej piwnicy.

Nieodzownym warunkiem prawidłowej wegetacji i pięknego kwitnienia bylin jest umiejętnie dostosowanie rodzaju ziemi i nawozów zasilających. Poza tem niemałą rolę gra tutaj i wystawa. Jedne rośliny rozwijają się bujnie w półcieniu, inne znów wymagają pełnej operacji słonecznej.

Ogród, lub niewielki ogródek przy willi miejskiej, obsadzony bylinami — od najwcześniejszych wiosennych, do późnych jesiennych — przy umiejętnem pielęgnowaniu może stać się oazą nieprzemijającego uroku i dostarczyć nam najpiękniejszych kwiatów ciętych do dekoracji wnętrza.

Kierując się nastrojem chwili, która wysuwa na pierwszy plan późne kwiaty letnie i kwiaty jesienne, omówimy przede wszystkim hodowlę dalij i mieczyków. Zarówno dalje, jak i mieczyki wymagają starannej i umiejętniej pielęgnacji. Nie zimują w gruncie i boją się nawet pierwszych jesiennych przymrozków, które są sygnałem wyjęcia kłączy i cebul z ziemi i złożenia ich na długotrwały zimowy spoczynek.

Dalja jest rośliną bulwiastą. Wysoki wzrost i piękna budowa rozłożystego krzewu, narówni ze wspaniałemi, różnobarwnemi kwiatami są źródłem dekoracyjności dalij, które sadzimy na rabatach, for-

mujemy z nich klomby, rzucone na tło rozłożystych trawników, lub podsadzamy skupiny krzewów ozdobnych. Sadząc dalje na szerokich rabatach w większych ogrodach, można przedzielać krzew od krzewu różami sztamowemi, lub też sadzić dalje w drugiej linii rabaty, dając przed niemi zwarty rząd kwiatów o średniej wysokości, które uformują bogatą obwódkę. Dalje należy sadzić w odległości conajmniej 1 metra krzew od krzewu.



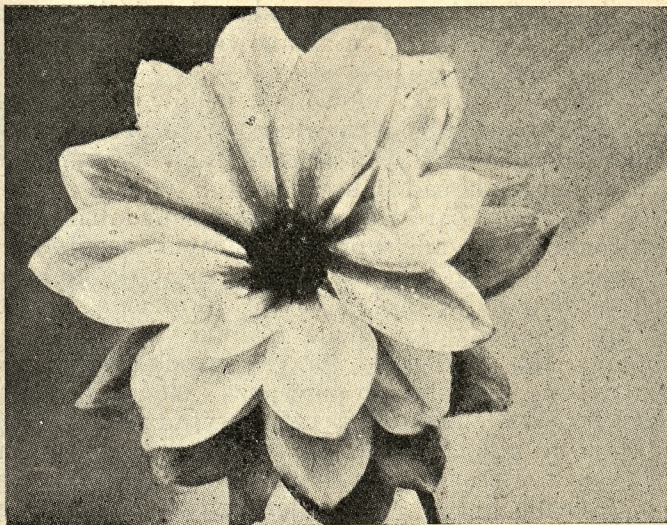
Krzew dalij, podsadzony tytoniem pachnącym, jako motyw dekoracyjny jesiennego krajobrazu.

Idealnym gruntem dla dalij jest *średni żłty* grunt, użyzniony jesienią przegniłym nawozem. Położenie (wystawa) ciepłe, lecz otwarte.

Hodowla dalij polega przede wszystkim na przestrzeganiu zarówno pory wysadzania, jak i wyjmowania bulw z ziemi.

Korzeń dalji — to korzeń, złożony z kilku, lub kilkunastu bulw, trzymających się zeszlorocznej, zeschłej łodygi. Na każdej poszczególnej bulwie daje się zauważyć przy szyjce jedno, lub więcej oczek, które są podstawą nowych pędów.

Otóż cały taki zbiór bulw sadzimy w końcu marca, lub w początkach kwietnia w ciepłym inspekcie, a gdy pędy dojdą mniej więcej do 10 cm., dzielimy roślinę na tyle części, ile wydała silnych pędów, zwracając baczną uwagę na to, aby przy *każdym* pę-



Dalje pojedyncze, trwalsze niż pełnokwiatowe, są cennymi kwiatami bukietowymi.



Wspaniała odmiana dalji chryzantemowej.

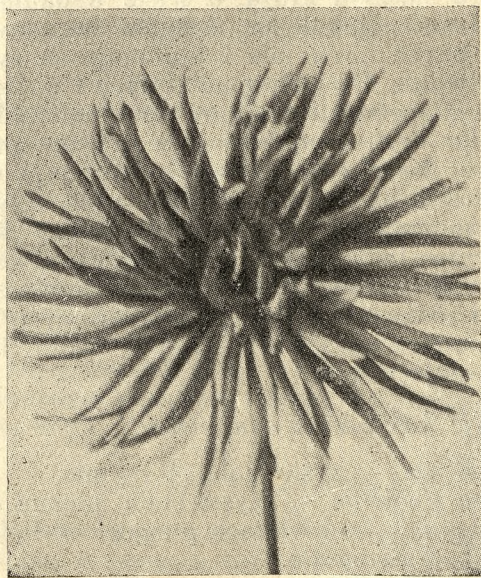
dzie pozostawić korzeń. Tak podzielone pędy sadzimy powtórnie w ciepłym inspekcie, aby się rozrosły należycie przed przeniesieniem ich na miejsce właściwe. Gdy pędy zakorzeniają się i rosnać zaczęły, przystępujemy do hartowania ich, to znaczy przyzwyczajamy je ostrożnie do powietrza i słońca, unosząc okna w ciągu dnia, a zamykając je szczelnie na noc, gdyż najmniejszy nawet przymrozek jest w stanie uszkodzić młode rośliny.

Terminem wysadzania dalij w grunt jest data 20 maja. W tym okresie przestają już zazwyczaj grozić ranne przymrozki, a tem samem delikatne młode rośliny nie są narażone na zniszczenie.

Przystępując do sadzenia dalij, oznaczamy miejsca, na których je posadzimy; wybieramy dołek i obsypujemy zasadzony krzew ziemią, przysygniata-

jąc ją rękami; poczem wbijamy wysoki, mocny palik, który zabezpieczy kruchy krzew dalji od złamania. Roślinę przywiązujemy się do palika łykiem, lub rafką niezbyt ciasno, aby jej nie uszkodzić. Ziemię dookoła świeżo posadzonej rośliny przykrywamy nawozem słomistym, zabezpieczającym bulwę przed wpływem zbyt ostrego chłodu; gdyby, bowiem, pomimo spóźnionej pory, zdarzyły się jeszcze przymrozki, mogły one zwarzyć łodygę, nie zdołając jednak wyrzucić ujemnego wpływu na bulwę, która po ścięciu przemarzniętej pędzie zdolna wydać nowy, zdrowy pęd.

Początek rozwoju dalij w pierwszym okresie zania się pąków kwiatowych, jest niewskazane, ponieważ nadmiar wilgoci wywołuje chorobę i ma nadwyrzaz ujemny wpływ na siłę kwiatów. Dobrze jest też odejmować dolne rozgałęzienia, tymczasem ten sposób dopomóc roślinie do wykształcenia przez siebie, wyposażonego w bogatą siłę kwitnienia. Niejednokrotnie stosuje się też uszczykiwanie wierzchołków, które wpływa na silne rozgałęzienie młodego krzewu.



Dalja kaktusowa właściwa.

Znany jest jeszcze w ogrodnictwie inny sposób rozmnażania dalii, a mianowicie zapomocą sadzonek.

Jako sadzonek, używamy pędów, wyrastających z bulw, posadzonych wiosną w inspekcje. Pędy ścinamy ostrym nożykiem ukośnie i sadzimy w małych doniczkach sadzonkowych, lub wprost w ciepłym inspekcje. Zarówno doniczki z sadzonkami, jak i sadzonki, hodowane wprost w skrzyni inspektowej, trzymamy pod szkłem, nie dopuszczając do nich powietrza, dopóki się doskonale nie zakorzenia. Gdy to nastąpi, przesadzamy młode roślinki do większych doniczek, lub do drugiej skrzyni inspektowej; przyzwyczajamy ostrożnie do powietrza i słońca, chroniąc przed nocnymi chłodami, poczem wysadzamy w końcu maja na miejsce stałe. Krzewy dalii, prowadzone z sadzonek, rozrastają się równie silnie, jak i powstałe z dzielenia bulwy i mają dar wytwarzania w ciągu jednego lata silnie rozgałęzionego korzenia, nie ustępującego swą wydajnością korzeniowi rośliny, powstałej z dzielenia bulw.

Kiedy już racjonalnie i starannie pielęgnowana roślina spełniła swe posłannictwo, darząc nas w ciągu lata i jesieni obfitością wspaniałych kwiatów, obowiązkiem naszym jest ustrzec ją przed niebezpieczeństwem zbliżających się jesiennych chłódów. Wspominałam już o tem, że dalej boją się przymrozków. Otóż z chwilą zbliżania się okresu przymrozków jesiennych, ścinamy lodygi na kilkanaście cm. nad ziemią, a po upływie 3—4 dni, przy sprzyjającej pogodzie wyjmujemy delikatnie bulwę z ziemi, uważając, aby nie naruszyć korzeni. Bulwę, odczoną z ziemi, przechowujemy w miejscu suchym, chłodnym, jednakże zabezpieczonym od mrozu. Większą część przechowuje się przez zimę w piasku, lub ziemi, oddając pieczęć przed parowaniem; jednakże wpływ na godniejszą wilgocę jest dla bulw dalii zabójczą koracją rabie bowiem gnienie korzeni, które w danym miejscu należy natychmiast usunąć aż po szyjkę, nie zimotry.

Umiejętne przechowanie bulw różni się zabieg nieomal najważniejszy w hodowli dać tak. Prócz wyżej wspomnianych zabiegów, należy jeszcze uwzględnić dbałość o zabezpieczenie roślin przed szkodnikami.

Ostatnie lata wzbogaciły kolekcję dalii, hodowanych w naszym kraju, o wiele wspaniałych odmian, odznaczających się nie tylko bogactwem najsubtelniejszych barw, ale i fantazyjnym rysunkiem samego kwiatu. Do najwspanialszych i najodporniejszych na długotrwałe jesienne słoty należą bezsprzecznie *dalje kaktusowe roślino*; prócz wspomnianej odporności kwiatu na deszcze, odznaczają się one i wspaniałością budowy, oraz bogactwem barw. Wśród wyżej wspomnianej odmiany spotykamy kwiaty o zabarwieniu: białym, brunatnym, purpurowym, fioletowym, czerwonym, żółtym, pomarańczowym, lososiowym i różowym. Prócz jednokolorowych spotykamy odmiany ciekawie cieniowane, które należą do najzdobniejszych.

Dalje kaktusowe roślino:

Alt-Wien — czysto białe, olbrzymie.

Biała Królowa — czysto-biała, piękna odmiana.

Tęsknota — o kwiatach purpurowo-fioletowych, spody zielonkawo-żółte.

Signor — krwisto-czerwona, zbliżona budową do złocieni.

Błękitny Krzyż — jedna z najwspanialszych nowych odmian, na długich, sztywnych lodygach. Barwa fioletowo-błękitna.

Amundsen — lososiowo-różowa o płatkach, przypominających szpony. Kwitnie do bardzo późnej jesieni.

Siskiyou — olbrzymie kwiaty o 30 cm. średnicy, różowo-lila z ametystowym nalotem.

W małym ogródku — krzew dosyć niski, kwiaty nadwyraz dekoracyjne, różowe z brunatnym odcieniem.

Złote Słońce — kwiaty olbrzymie, barwy terrakotowej ze środkiem złoto-żółtym.

Prócz grupy kaktusowych na pierwszy plan wysuwa się również i bogata grupa t. zw. *mieszkańców wielkokwiatowych* o ubarwieniu podobnym do powyżej wymienionych i wspaniałym kwiecie, złożonym z szerokich płatków kwiatowych; dalej mamy jeszcze piękne odmiany pojedyncze i *dalje pomponowe*, nadzwyczaj dekoracyjne, odznaczające się obfitością drobnych, zwięzłych kwiatów. Wanda Dobrzańska.

JAM A KONFITURA

Często zwracają się do mnie czytelniczki z pytaniem, czemu robię różnicę pomiędzy temi dwoma rodzajami konserw, bo przecież, ich zdaniem, „jam” — to zwykła, gęsta konfitura.

Otóż, tak rozumując, można nazwać i galaretę, i marmeladę, i powidlą — konfiturą, gdyż wszystkie te przetwory owocowe są wykonane w sposób podobny i są słodkie. Nikt nam nie broni zwykłej, gęstej, z niedużą ilością cukru usmażonej konfitury nazywać „jam” — jeżeli jednak chcemy mieć tę konserwę przyrządzoną w taki sposób, jak się ją robi w Anglii, mającą taki sam smak, a głównie, taki sam wygląd, jak oryginalne, angielskie jam’y — musimy do ich wyrobu zastosować specjalne, zresztą bardzo łatwe, metody.

Jam nie tylko nie jest przedmiotem zbytku, lecz w swej ojczyźnie zastępuje zwykłą marmeladę przy pierwszym śniadaniu, stanowi zwykły dodatek do chleba dla dzieci zamiast masła. Główną jego zaletą jest, że można nań użyć wszelkich, pośledniejszych owoców, wszelkich odpadków (byłe nie zgniłych i nie sfermentowanych), a jednak ma wygląd estetyczny, nieomal ładniejszy od najpracowiwszych konfitur, gdyż każdy pojedynczy owoc cały jest w nim otoczony warstwą przezroczystej marmeladki-galaretki, jakby w niej zawieszony.

Żeby dokładnie wykazać różnicę w przyrządzaniu konfitur i jamy, zacząć od tego, że przypomnę, jak się dzisiaj smaży konfitury.

Zarzuciłyśmy przedewszystkiem wszelkie komplikacje. Już nikt nie gotuje do miękkości, to jest do chwili możności przebicia słomką pomarańcz, ani cytryn; wystarcza dobrze je wymoczyć w wodzie. Nikt, stanowczo nikt nie robi pracowitych szyszeczek chmielowych z zielonego agrestu; nie smaży porzeczek, drylowanych na całych gronkach; mało kto zapieka agrest w spirytusie z wiśniowymi liśćmi (metoda niesłychanie kosztowna). Natomiast większą część owoców: porzeczek, agrest, wiśnie, mirabelki, dereń, głóg — zawsze, jak i dawniej, drylujemy; inne, jak truskawki i maliny, zasypujemy na noc cukrem, aby

wypił nadmiar ich soku i ochronił przed natychmiastowym rozgotowaniem w syropie. Jeszcze inne owoce: renklody, morele, brzoskwinie, jabłuszka rajskie — gęsto nakłuwamy widelcem srebrnym aż do pestki, aby skórka przy smażeniu z nich nie zeszła i nie zwieszała się w brzydkich płatach pomiędzy owocami i syropem; inne jeszcze, jak gruszki i jabłka słodkie — po obraniu z łupinek pogrążamy w zakwaszonej cytryną wodzie; różne śliwki wrzucamy na chwilę do wrzątku i obieramy ze skórki.

Po tych wszystkich przedwstępnych zabiegach, drobne owoce smażymy, wprost rzucając je na wrzący syrop, większe zalewamy po kilka razy, z początku zimnym i rzadkim, potem coraz cieplejszym i coraz gęstszym syropem; nakoniec dosmażamy, jak drobne owoce, do chwili, gdy ulep stanie się gęsty, a owoc przezroczysty. Wszystkie konfitury smaży się z przerwami, to jest, po kwadransie smażenia odstawia miedniczkę na dziesięć minut na brzeg blachy, aby konfitury nie ostygły, a jednak owoc miał czas dobrze się napęcznieć syropem.

Nakoniec konfitury dobrze ostudzone przekładamy do słoików.

Teraz opiszę dokładnie proces wyrobu „jamów”.

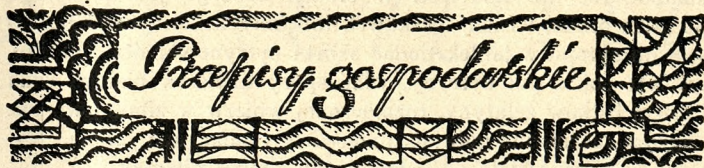
Każdy owoc — duży czy mały — starannie się segreguje; ładniejsze, bujniejsze okazy odkłada się w całości; drobniejsze, nieco pobite, uszkodzone, lub mniej dojrzałe (byłe nie zgniłe, sfermentowane, spleśniałe, ani zrobaczone) przepuszcza przez maszynkę i przeciera przez rzadkie sito, bądź też rozgotowuje prawie bez wody w garnku i tak samo przeciera przez sito. Najlepszy stosunek całego owocu do przetartego jest pół na pół.

O ile masa owocowa jest gęsta, robimy syrop cukrowy, jak na konfitury; o ile rzadka (przy porzeczkach, malinach i t. p.), dodajemy do niej wprost cukier i zaczynamy smażyć na dosyć silnym ogniu, jak galaretę. Mięszamy często od dna, aby nie przywarło. Gdy galaretka lub marmeladka stanie się przezroczysta, wkładamy w nią całe owoce, nie drylowane, conajwyżej morele lub śliwki drobno nakłute srebrnym widelcem, aby skórka nie zeszła.

Teraz smażymy wolniutko, jak konfitury, robiąc co kwadrans pauzy dziesięciominutowe. Kiedy owoc stanie się przezroczysty, robimy próbę, rzucając kroplę syropu na zimny talerzyk: jeżeli się nie rozplywa — „jam” gotów. Odsuwamy go od ognia i dajemy nieco przestygnąć, jednak nie studzimy zupełnie i letni składamy do słoików, ażeby dać możność galaretce czy marmeladce, otaczającej owoce, ścieć się w słoiku, co zabezpiecza przed fermentacją i jest warunkiem ładnego wyglądu konserwy. Uchwycenie właściwej chwili przełożenia jamu do słoja jest największą sztuką. Chodzi o to, aby usmażone owoce jakby zawisły w otaczającej je masie i zostały równomiernie rozłożone po całym naczyniu, w którym je przechowujemy. Użycie benzoesu jest również pożyteczne przy wyrobie jam'u, jak i konfitur.

I jeszcze jedna właściwość jam'u: na konfitury używamy jednego gatunku owocu — w jam'ie możemy robić dowolne mieszaniny. Naprzykład, ślicznie wyglądają i bardzo są smaczne truskawki albo maliny w marmeladce-galaretce porzeczkowej; wyborne są gruszki w takim otoczeniu śliwkowym, albo w marmeladce jabłecznej; lub też jabłka słodkie w marmeladce z jabłek kwaśnych. Pole do pomysłów i fantazji gospodyni — niesłychanie obszerne.

Pani Elżbieta



GRZYBY W KOSZYKU.

Półkilowy, czerstwy, okrągły chleb pszenny otrzeć ostrą tarką ze skórki, ścieć płasko wierzch, ośrodek wybrać ostrą, żelazną łyżką, pozostawiając na półtora palca grube ścianki. Posmarować zewnątrz i wewnątrz cienko masłem, obsypać ostrym serem, wstawić w gorący piec, aby bułeczka, jednocześnie uschła i zrumieniała się. To samo zrobić ze ściętym wierzchem. Sześćdziesiąt deka młodych grzybów prawdziwych jak najstaranniej oczyścić nożem, szczotką, wilgotną ściereczką (tylko nie myć, gdyż to odbiera aromat i robi grzyby śliskimi, miękkimi), pokrajać w cieniułne paski. Dużą cebulę, drobno pokrajaną, zasmażyć z dobrą łyżką (6 deka) masła. Włożyć grzyby, smażyć, aż sok z nich zupełnie się wydusi. Zasypać łyżką mąki, zasmażyć razem, wlać kwaterkę śmietany, raz zagotować. Osolić do smaku, trochę popieprzyć. Jeśli śmietana nie dość kwaśna, wcisnąć sok z pół cytryny. Grzyby przed samym podaniem włożyć w koszyczek z chleba, przykryć pokrywką, ustawić na półmisku, przykrytym serwetką i natychmiast podawać, gdyż, stojąc, koszyczek straciłby kruchość, stanowiącą jego główną zaletę.

POMIDORY NADZIEWANE RYZEM Z JAJAMI.

Sześć bardzo dużych pomidorów (wagi około kilo) obrać, ścieć wierzchy, wydrążyć środki z ziarnkami, pozostawiając możliwie grube ścianki. Pół szklanki ryżu ugotować na sypko z łyżką masła. Dwa jaja ugotować na twardo i usiekać; usiekać również garstkę koperku zielonego; wszystko to zmieszać razem, wbić jajko surowe, osolić, lekko popieprzyć, wymieszać dokładnie. Nadziać tem pomidory, przykryć pokrywkami, ułożyć na patelni, posmarowanej masłem, wstawić w gorący piec, aby się upiekły. Tymczasem wybrane ośrodki udusić z łyżeczką masła, przetrzeć przez sito, zaprawić łyżeczką mąki, rozprowadzić rosół lub wodą z kostką buljonową, zagotować. Pomidory wyjąć z pieca, ułożyć na półmisku, a czysty sosik pomidorowy wylać na nie, lub też podać oddzielnie w sosjerce.

SALATKA W OGÓRKACH.

Krótkie, grube ogóreczki, o drobnych ziarnkach, obrać cienko ze skórki, przekrajać wzdłuż na połowę; środki z ziarnkami wybrać, pozostawiając ścianki na centymetr grube. Na sześć ogórków ugotować dziesięć młodych marchewek, pokrajać w cienkie paski; ugotować również szklankę zielonego groszku, lub, w braku groszku, drobno pokrajaną zieloną fasolkę, wymieszać z drobno posiekanymi ośrodkami ogórków i z dwiema łyżkami zwykłego sosu majonezowego, osolić do smaku i napęlnić tem ogórki. Dwa nieduże pomidory pokrajać w cienkie płatki, ubrać niemi salatkę, mijanego z dwoma jajami na twardo, również cienko pokrajanymi. Po wierzchu ubrać ładnie gęstym majonezem i podać, układając każdy ogórek na listku salaty.

JABŁKA W GALARECIE.

Duże jabłka obrać z łupinek, przekrajać na połówki, wydrążyć środki z ziarnkami, ugotować w lekkim syropie cukrowym (na sześć jabłek — trzy szklanki wody i jedna szklanka cukru). Jabłka wybrać, ostudzić, ułożyć w dużej, głębokiej

kompotjerce lub salaterce. W środek każdego jabłka włożyć po kilka malin, wisien, truskawek lub innych konfitur. Tymczasem do syropu z jablek dodać skórki cytrynowej dla zapachu, wcisnąć sok z pół cytryny, wlać spory kieliszek białego wina i osiem listków żelatyny, rozmoczonej w pierw w zimnej wodzie. Zagrząć razem, nie gotując, precedzić i zalać tem jabłka. Wyynieść na sześć godzin do lodowni, lub zimnej piwnicy.

ŁOSOŚ W PAPILOTACH.

Środkowe dzwono łososa (wagi około trzech ćwierci kilo) pokrajać na sześć dużych, na dwa palce grubych płatów; osolić, skropić sokiem z cytryny, odrobinę popieprzyć białym pieprzem i potrząsać tak z godzinę. Tymczasem przygotować sześć równych kawałków papieru (rozmiar ćwierci arkusza zwykłego dużego, tak zwanego kancelaryjnego formatu). Nożykami zaokrąglić brzegi papieru. Środek każdego kawałka posmarować masłem, ułożyć po kawałku łososa, złożyć papier na połowę. Szczelnie zawinąć brzegi papilota, zaciskając w drobne karby, aby sok z wewnątrz nie wypłynął. Ułożyć na posmarowaną tłuszczem brytfannę i wstawić do średnio gorącego pieca. Gdyby się papier zbyt mocno rumienił, przykryć brytfannę zmoczonym arkuszem bibuły. Po dwudziestu minutach ryba powinna być gotowa. Przełożyć ją wraz z papilotami na półmisek, ubrać pietruszką lub sałatą i bardzo gorącą podawać. Oddzielnie podać masło sardelowe w płatkach lub kulkach, albo zimny sos tatarski czy majonezowy.

JARSKI WERMISZEL ZAPIEKANY.

Dwadzieścia deka wermiszelu ugotować (nie przegotować) w osolonym wrzątku, odlać, przelać zimną wodą. Gdy nieco ostygnie, zmieszać z pięcioma deka roztopionego masła i takąż ilością tartego, ostrego sera (kto znosi zapach zielonego, krajowego sera, może go użyć do tej potrawy: jest tańszy od innych, ostrych serów, a bardzo smaczny). Oddzielnie ugotować szklankę zielonego groszku, dziesięć ładnych, młodych marchewek, pokrajanych w grubą kostkę, spory kalafior, podzielony na różyczki, garść zielonej lub szparagowej fasolki. Ogniotrwały półmisek posmarować masłem, ułożyć na nim warstwę zapiekanego z serem makaronu, warstwę zmieszanych jarzyn, skropić je masłem topionem, znów wermiszeli i jarzyn, ostatni rząd powinien być wermiszeli. Skropić masłem, posypać grubo bułeczką, zmieszaną z serem, jeszcze raz skropić masłem i wstawić w gorący piec dla zrumienienia. Oddzielnie podać sos biały, zaprawiony śmietaną i koperkiem, lub też sos pomidorowy.

KOMPOT W MELONIE.

W dojrzałym, lecz nie przejrzałym melonie zrobić nieduży otwór od strony gałązki, wybrać przezeń naprzd ziarnka, potem cały miąższ, pozostawiając ścianki na palec grube. Miąższ wyjęty pokrajać w kostkę, zmieszać z takąż samą ilością truskawek lub drylowanych wisien, albo kruchych, dojrzałych

jablek, czy soczystych gruszek, pokrajanych w kostkę. Na kilo tego owocu wsypać szklankę cukru, wlać szklankę wina białego i kieliszek araku, lub jakiego aromatycznego likieru: kirszu, abricotiny, maraskino i t. p. Wymieszać, masą tą napelnić melon, postawić na parę godzin na lodzie. Podawać cały na półmisku, pokrytym zielonemi liśćmi winogron. Do wybierania kompotu z melona podać łyżkę-czerpaczek, używaną do gotowanej śmietanki, lub niedużą łyżkę wazową. *Pani Elżbieta.*

DOBRE RADY

Chcąc przekroić upieczony tort na równe kręgi, po zupełnem ostudzeniu i zesztynieniu ciasta trzeba otoczyć go mocną, ale cienką nitką (najwyżej 40 numer, lepiej cieńszą), oba końce nitki zebrać w rękę i ciągnąć do siebie. Tort przekrajemy w ten sposób równiutko, jak najcieniej. Następnie smarować ciasto masą, kremem lub konfiturami, składać razem kręgi, a po złożeniu wszystkich, przycisnąć mocno dłońią z wierzchu, żeby dobrze się zlepiły.

* * *

Aby ułatwić zażycie oleju rycynowego osobom, nie znoszącym jego smaku i zapachu, trzeba szklankę świeżo przegotowanego mleka spienić w słoiku, wlać przeznaczoną porcję oleju, jeszcze zmieszać, wylać do kubka i wypić prędko, dopóki piany nie opadnie. Tak samo można przyrządzić olej w piwie, albo ubić go na pianę z jednym białkiem. Albo: na dno kieliszka wycisnąć sok z pół pomarańczy, bacząc, aby pestki nie wpadły, wlać następnie olej, na wierzchu wycisnąć drugie pół pomarańczy, przechylić dobrze kieliszek i połknąć od razu jego zawartość. W dniu, w którym się zażyło olej, wystrzegać się deszczu, zimna, zmęczenia, unikać ciężkich pokarmów, podniecających napoi. wcześniej się położyć i w ciągu dnia popijać często rumianek, kwiat lipowy lub miętę.

DROBNE OGŁOSZENIA

Potrzebna jest na wieś sumienna nauczycielka wychowawczyni, starsza osoba, skromnych wymagań, z francuskim i początkami muzyki do przygotowania dziewczynki do 2 kl. gimnazjum państwowego. Adres w Redakcji.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Macierzyństwo nieślubne.

Macierzyństwo ślubne, czy nieślubne, jest spłotem obowiązków, którym, jeżeli im matka sama sprostać nie może, należy się opieka społeczna, lub, co nie mniej ważne, pomoc jednostek bardziej wyposażonych duchowo i materialnie. I to w równym stopniu: matkom ślubnym i nieślubnym.

Niektóre z Pań, piszących już w tej sprawie, dziwią się, dlaczego tyle mówimy o „poważaniu” i „niepoważaniu” matek. Dyskusję wywołał artykuł p. Krawczyńskiej, która to autorka nazwała matkę nieślubną „bezinteresowną”, a ze ślubnej uczyniła jakiś symbol wyrachowania.

Ale, co do „poważania”, to sprawa bardziej, sądzę, zawikłana. Że matka ślubna nie stoi *niżej* moralnie przez „wyrachowanie”, czy „spryt” (zagwarantowała sobie przez ślub opiekę męża i kodeksu), to jednak jest dla mnie pewnikiem. A czy stoi wyżej? O ile... ma dziecko z własnym mężem, to chyba tak. Bo cała sprawa „szacunku” spoczywa nie na macierzyństwie, a na poczęciu. Poczęcie ślubne jest religijnie uznane, prawnie zagwarantowane, życiowo... praktyczne. „Potępienie” matek nieślubnych dotyczy chyba tylko nieślubnego poczęcia, które już w katechizmie nazywamy... grzechem. O ile kobieta oszukana, zbalamucona, zgwałcona, czy wreszcie uległszy impulsywności uczucia, zostaje, naprzekór światu, matką, fakt ten jest znamienym dla jej wartości duchowych, a tem samem zasługuje na szacunek. Bo macierzyństwo *dziś* jest zawsze *dobromolnem* braniem na siebie obowiązków i trudów, przy dzisiejszem rozpowszechnieniu przeróżnych, mniej lub więcej zabójczych dla organizmu, sposobów przerywania ciąży.

Mówią, że ten naród jest moralniejszy, który liczy więcej urodzin nieślubnych. Nie dlatego, że więcej jest kobiet „upadłych” (często zbłąkanych, „niepraktycznych”), a dlatego, że mniej jest poronień i zabójstw.

Panie, które prawie apoteozują matkę nieślubną nie biorą pod uwagę, że, urabiając opinię w tym kierunku, szkodzą zarówno sprawie kobiecej, jak ogólnemu poziomowi moralnemu społeczeństwa.

Matce nieślubnej należy się jaknajdalej idąca opieka, zarówno duchowa, jak materialna (należą się dodatki do pensji na dziecko!). Ale matkę ślubną trzeba stawiać wyżej, bo jest w zgodzie z obowiązującymi prawami i z wymaganiem dziecka, które ma prawo mieć ojca.

Apoteoza „odwagi”, „bohaterstwa” nieślubnego macierzyństwa, to droga śliska, bo prowadzi do apoteozy wolnej miłości. A czym jest wolna miłość w znaczeniu społecznym? To poderwanie istniejących praw, bez podstawienia nowych. To droga do usankcjonowania popędu, kosztem godności człowieczej. To droga do rozluźnienia i tak już rozluźnionych obyczajów, do poligamji, a tem samem droga do chorób i zwyrodnienia.

P. Krawczyńska, a później szereg innych Pań, wśród których najbardziej krańcowe stanowisko zajęła p. Zawiszanka, powołują się na naturę, na popęd, nawet na przykłady zwierząt. Zastanówmy się, jaki ten popęd ma przebieg w świecie zwierząt, a jaki

w świecie ludzi. I gdzie jest bardziej naturalny? Prawie wszystkie zwierzęta ssące, najbardziej do ludzi organicznie podobne, i większość ptaków wychowują potomstwo wspólnie (samiec i samica) do czasu, póki nie stanie ono do walki z życiem samodzielnie. W życiu kobiety, matki nieślubnej, mężczyzna zjawia się, jak fenomen i znika. Zostaje dziecko. U zwierząt instynkt zachowania gatunku idzie w parze z popędem płciowym (i odstępstw od tego niema), u ludzi (szczególniej u mężczyzn) nie. Tu właśnie źródło odpowiednich gwarancji prawnych. Zaznaczyć jeszcze należy, że okres niedoświadczenia życiowego dzieci jest długi, tak długi, że trzeba właściwie dożgonnej gwarancji rodziców, że wspólnie dzieci wychowywać będą. Prawo zastępuje tu instynkt zwierząt.

Jeden jeszcze szczegół mi się nasuwa: zwykle w wypadku nieślubnego macierzyństwa niema *możliwości* ulegalizowania stosunku, a więc np. ojciec jest żonaty z inną. Cierpią tu zatem dwie strony: winna kochanka, niewinna żona (bywa i odwrotnie). Dziecko, jako wyraz nielegalnej miłości, czy popędu, czy wreszcie rozpusty, jest obciążone podwójną krzywdą, często przekleństwem.

Popęd płciowy, który ogromnie dodatnio naszkicowała p. Zawiszanka, jest siłą ogromną, tak ogromną, że aż niszczycielską; twórczą może być wówczas tylko, gdy znajdzie się w karbach woli. I właśnie to opamiętanie popędu zasługuje na prawdziwie głęboki szacunek i dopiero ono będzie „naturą”, bo będzie zrównoważeniem instynktu zachowania gatunku u zwierząt.

My, kobiety, dążyć musimy jednak zawsze do... jednożeństwa, jako do dalekiego może jeszcze, lecz chyba możliwego ideału. Leży to w naszym interesie, odpowiada naszej naturze, a pewnym zbiegiem okoliczności, uratować może ludzkość przed ostatecznem zgangrenowaniem fizycznym i moralnem.

Jeżeli która z pań zechce mi zarzucić, że daleko od nieślubnego macierzyństwa do poligamji, to jednak nadal uważać będę, że jest... blisko. „Upadek” jedno-razowy jest rzadkością, a często prowadzi poprostu do prostytucji. Bo pamiętajmy w swej dyskusji o jednym: dotyczy ona głównie kobiet z ludu. To dużo wyświekli. Kobiety sfer wyższych rzadko zostają nieślubnymi matkami.

Czy rzadziej „upadają”?

Zresztą życie płciowe nie wyczerpuje wartości duchowych człowieka, a matka nieślubna *może* (niekoniecznie *jest*) *być* wzorem zalet i cnót.

Streszczam się: macierzyństwo nieślubne wymaga troskliwej, czulej opieki, nie zasługuje na szykany, błotem go obrzucać nie wolno! należy mu się szacunek o tyle, że jedno przekroczenie prawa nie pociągnęło drugiego: zbrodni zabójstwa, i gdy fakt macierzyństwa odróżnimy od faktu poczęcia. Matka ślubna zawsze jednak stać będzie wyżej, a dziecko jej zawsze będzie szczęśliwsze.

Potępiamy wszystkie nieślubne ojcostwo, a dotyczy ono przecież jednego faktu. Różnica jest w tem, że kobieta bierze na siebie odpowiedzialność. Więc jest to tylko zadośćuczynienie, ekspiacja.

A nie „bohaterstwo”.

Częstochowianka

Starość, to nie starczość (w odpowiedzi p. Kiewnarskiej).

Artykuły p. Kiewnarskiej zawsze czytam z uwagą i z respektem. Ten ostatni był: „O szacunku dla starszych”. Nie wiem, czy godzi się spierać z p. K., ale tym razem mam ochotę.

P. Kiewnarska mówi raz: *starość*, raz: *starczość*. Dla mnie to zupełnie co innego: *starość* i *starczość*. *Starość*, to przeżycie... 50 i więcej lat. *Starczość*... to jakby ktoś umarł, a tylko zapomniał położyć się do grobu; to już poprostu upośledzenie fizyczne i psychiczne z powodu podeszłego wieku.

Ponieważ ten obecny destruktor mógł mieć dziesiątki lat zasłużonego życia, należy uszanować tę zasługę przeszłości, jeżeli była. Jeżeli nie, wystarczy liść. Trudno mieć cześć wobec długiego szeregu lat pustego życia.

Według mnie, pra-przyczyną braku uszanowania dla starszych jest właśnie to, że większość długo-żyjących nie jest tak specjalnie godna czci. Trzeba być szanownym, żeby być szanowanym.

Prawda, może się zdarzyć omyłka. Ten istotny smarkacz, ze swoim probierzem mądrości i wartości knock out'owej, oczywiście może zdyskwalifikować nawet i młodego genjusza; ale i stary i młody pełnowartościowy człowiek potrafi łagodnie uśmiechnąć się na to... to jest stanowczo nie bolesne.

Nie sądzę, żeby „starość potrzebowała młodości” specjalnie. Potrzebujący, to ten, co nie ma co dać, a chce wziąć. Mieć coś do dania, to warunek konieczny. Jeżeli to cenne, można darmo, można na zamianę; nie można tylko wpychać komuś w ręce tego, czego on sobie nie życzy.

Starość nie powinna, moim zdaniem, właśnie ani tak ani owak kokietować, ani zmarszczkami, ani danciem. W pojęciu kokietowania jest zawsze trochę fałszu. Starość, zwłaszcza starość kobiety, *ma także swoje walory* i właśnie na nich oprzeć się rzetelnie może, aby, o ile go pragnie, wziąć uznanie, a także stać się potrzebną i pożyteczną. Wszystkie, nieznośne, prawda! felery starości stąd właśnie idą, że przeciętna kobieta nie zna darów starości, a namiętnie goni za cieniem tego, co minęło i nie może powrócić.

Nie, nie „pozory młodości” zachowywać należy, żeby być czci-godnym, tylko trzeba umieć wyzyskać swój własny, dzisiejszy dzień, wyzwolenie z ujemnych, krępujących, bądź co bądź, rozwój psychiczny wybujałości młodocianych (kobieta: miłość, miłostka, kokieteria, poszukiwanie męża, czy kochanka, macierzyństwo fizjologiczne i t. p.), aby, przekwitnąwszy, owocować.

Młodzię lubi kwiatuszki, ale ceni i owoce. One zresztą swą cenność i słodycz mają w sobie.

M. B. z Lubelskiego

Zaczynamy.

Wszystkim paniom, które listami, nadsyłaniem do Płocka, dały dowód zainteresowania się „Ogniskami Emerytalnymi dla kobiet”, pośpieszam zakomunikować, że ustawa została już opracowana i w najbliższym czasie zostanie odesłana do zatwierdzenia. Zakres jej został znacznie rozszerzony; chodziło nam o to, by objąć całokształt życia kobiety, od jej najmłodszego wieku, aż do późnej starości. Z tego powodu statut ulegał kilkakrotnym poprawkom. Wychodziłyśmy z tej zasady, że lepiej zatwierdzenie odwlec, a w zamian tak opracować statut, by stać się mógł prawdziwą ostoją życia kobiety. Po zatwierdzeniu ustawy, wszystkim paniom, których adresy zostały starannie przechowane, przesłany będzie egzemplarz ustawy,

jako przewidywanym członkiniom, z prośbą o dalszą agitację.

Jednocześnie wnoszę do Sz. Pań prośbę, by te, któreby mogły powstającą organizację zasilić wkładami, zechciały powiadomić nas, ile mogą zadeklarować. Zadeklarowane sumy w następstwie zaliczone być mogą, jako wkłady, dające prawo pierwszeństwa umieszczenia się, lub też, jako pożyczka na kupienie realności. Obecnie chodzi nam tylko o to, by te przyszłe członkinie, chcące i mogące podać rękę naszej organizacji, dały nam znać na jaką pomoc materialną mogłybyśmy w następstwie liczyć. Przy deklaracji prosimy również o podanie swego adresu.

Jak potrzebna jest organizacja, nad którą pracujemy, dowodem jest liczna korespondencja, jaką otrzymuję ze wszystkich dzielnic kraju i której obfitość nie pozwala mi na osobiste odpowiedzi, a zmusza do odpowiedzi na gościnnych łamach naszego kobiecego pisma. Korespondencja osobista zajęłaby mi zbyt dużo czasu, którego nie mam wiele do własnego rozporządzenia. Szanowne moje korespondentki zechcą mi więc wybaczyć moje uchybienia w stosunku do ich korespondencji. Z czasem, przy konkretnem już zapoczątkowaniu organizacji, będzie odpowiednia obsada, która na wszelkie zapytania obowiązana będzie odpowiadać.

M. Prażmowska — Płock

Najboleśniejsze (w odpowiedzi p. B. J.).

„W tej kwestji trzeba zabrać głos”. Tak pisze pani B. J. i uchyla rąbek zasłony z kwestji chyba najdramatyczniejszej: dramatów szkolnych naszej młodzieży. Nie wiem, kto, gdzie i jak władny będzie zaradzić temu, dorzucam tylko jeden żalobny fakt, który przeżyliśmy w czasie ostatnich, tegorocznych egzaminów.

Ludek P., dziecko naszego domu i dziedzińca, żywy, psotny, pomysłowy, dowcipny, pełen inicjatywy, mechanik, muzyk, uczeń gimnazjum O. O. Jezuitów, cztery klasy przeszedł bez żadnych trudności, leżą przedemną wszystkie świadectwa... żadnej dwójki; dopiero przejście do klasy V-ej kwestjonuje matematyka, ale ojciec wyjechał do Ameryki szukać lepszej doli, zabierze go. I żyje chłopiec nadzieją dalekich, pełnych przygód podróży; lecz projekt upadł, środków niema, prywatna szkoła za drogą; przeniesiono go do gimnazjum państwowego. Ze zmianą programu i warunków; przychodzą złe stopnie, chłopak pracuje, czasem ktoś pomoże, świeci w okienku lampka w długie wieczory i ranki; chce się poprawić, wyciąga rękę i słyszy ze strony nauczyciela zachęcające słowa: „Nie śpiesz się, zdążysz dostać dwójkę”!

Rady niema: i dzieciak i matka pogodzili się z myślą zostania na drugi rok. Wzmocni się fizycznie i jakoś to będzie; lecz gdy matka poszła po świadectwo, kazano jej zabrać chłopca. Czemu? Dlaczego? Złe się uczy i jest hardy.

„I cóż my teraz, dziecko, będziemy robić?” a u chłopca oczęta robią się dziwnie zacięte, a usta, prawie bezwiednie, wymawiają: „czemu taka niesprawiedliwość?”. I odpowiedzi nie usłyszał, bo do poręczy łóżka przywiązana koszulina zabrała harde życie. Nie wiem, co, ale myślę, że jakoś zmienić się musi; że nauczyciel powinien być żywą książką, a nie maszyną do stawiania dwójek. Przez ten ból matki po stracie jedyne dziecko, przez tę jej korną modlitwę: „niech już nikt, nigdy, tak nie cierpi, jak ja dziś cierpię”.

Niech nie giną marnie nierozwinięte jeszcze siły narodu. Niech szkoła będzie „Radosną szkołą”, dopełnieniem rodzinnego domu, gdzie byłoby równie dobrze nauczycielom, jak uczniom.

A. Makomska — Wilno